ROK IV. LISTOPAD TOM XI (XLI).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

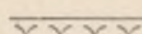
Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Ноября 1904 года.

Treść tomu XI, listopadowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XLI.



1. Pieśń na usługach Przenajświętszej Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy Maryi 1
2. Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego. 7
3. Bogarodzica naszą Matką, przez ks. Wł. F. 17
4. Dzieje illustrowane klasztoru Jasnogórskiego 21
5. Księga cudów, doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej 29
6. Święci Patronowie i Patronki, opowieści religijne, zebrane przez Michała Synoradzkiego 33
7. Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (z illustracyami) . 46
8. Historya illustrowana Kościoła Świętego Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach 61
9. Sławni dostojnicy Koscioła 75
10. W szwedzkich szponach: Opowieść z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów, przez Stefana Gębarskiego . 85
11. Nowiny z Częstochowy: Głos ks. prałata Waberskiego.—Ś. p. ks. Łukasz Brondzo. — Kompania z Nieświcza, dyecezyi Łucko-Żytomierskiej. — Sprostowanie. — Ofiary 93
12. Nowiny z daleka i z blizka: Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. — Wieści z Rzymu.—Obraz Matki Boskiej łaskami słynącej, we Wrocieryżu. — Echa kongresu Maryańskiego. — Uroczystości koronacyjne w Tarnobrzegu, w Galicyi 96
13. Modlitwa, wiersz, przez Adelę Koneczną 109
14. Nasz konkurs na wiersz. 111
15. Nie zabijaj! 112
16. Od Redakcyi 115

ILLUSTRACYE:

1. Gody w Kanie galilejskiej 11
2. Australia. Pierwsza Msza święta, odprawiona w Nowej Nursyi 49
3. Australia. Nowa Nursya. Chrzest pierwszych Australczyków . 53
4. Australia. Nowa Nursya. Opatrywanie rannych 57
5. Kompania z Chybic, dyecezyi sandomierskiej, u stóp JasnejGóry. 73
6. Kompania z parafii Lisków, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry 83
7. Kompania z Nieświcza, dyecezyi Łucko-Żytomierskiej, u stóp Jasnej-Góry. 91
8. Ś. p. O. Paulin Łukasz Brondzo 94
9. Kościół we Wrocieryżu 102
10. „ „ „ Prezbyteryum kościoła i wielki ołtarz. 103



Pieśń na usługach Przenajświętszej Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy Maryi.

Chóry Aniołów w niebiesiech głoszą nieustannie cześć i chwałę Maryi, a echa ich pienia przedostają się na ziemię, spływają natchnieniem na mężów wybranych, zapalają ich miłością dla Niepokalanej Przenajświętszej, skłaniają do tego, aby z kolei oni wysnuwali dla ziemian pobudkę ku uwielbieniu Tej, która świat Zbawicielem obdarzyła. Jakoż mężowie wybrani snują pieśni ku czci Maryi każdy w języku ludu swego, a pieśni te przenikają do serc, podnoszą je, umacniają, zbliżają przed majestat łaski Ucieczki grzesznych, Pocieszycielki i Orędowniczki strapionych. Pieśni te brzmiały naprzód cicho, nieudolnie, lecz z biegiem czasu, w miarę roziskrzenia się słońca wiary świętej, nabierały siły i piękniały. Wreszcie osiągnęły stopień wielkiej potęgi i niewymownego wdzięku. Właśnie zamierzamy opowiedzieć, jak się u nas rozwijała pieśń ku czci i uwielbieniu Maryi, a to na podstawach dzieł słynnych uczonych: Józefa Tretiaka, Aleksandra Brücknera, Kazimierza Morawskiego, Mikołaja Bobowskiego i innych.

Zorza pieśni Maryjnych.

Jednocześnie z rozbłyskiem pierwszych promieni wiary chrześcijańskiej — opowiada Tretiak — zakwitła w Polsce cześć dla Bogarodzicy. Pierwsze tej czci objawy zakrywa zmierzch dziejowy, z którego gdzieniegdzie tylko przeglądają takie o niej świadectwa, jak wznoszenie świątyń pod wezwaniem Matki Bożej, lub szczególne do Niej nabożeństwo niektórych książąt polskich. Więc najstarsza w Polsce katedra gnieźnieńska, fundowana przez króla Mieczysława I, już się pod Jej opie-

kę chroni. Z kościołów późniejszych dość wymienić wspaniały gmach kościoła Panny Maryi w Krakowie, pod który fundamenta położył biskup Iwo Odrowąż w r. 1226.

Szczególnem nabożeństwem do Maryi odznaczał się król Bolesław Krzywousty. Król ten, w nocyprzed szturmem na Kołobrzeg, wzywał w uroczystych modłach Jej pomocy, a po śmierci zdradzieckiego Zbigniewa, odmawiał do Niej Godzinki, chcąc tym sposobem za Jej pośrednictwem wyjednać zwycięztwo dla oręża swego, a potem odpuszczenie ciążącej mu na sumieniu winy wyprosić. Gallus, który dzieje tego króla opisywał, powiada w tej mierze: „W dzień sobotni, Bolesław i rycerze jego, posileni Eucharystyą Ś-tą, po przyjęciu oraz pokarmu codziennego, ujrzeli się wobec Kołobrzega. Z nocy nazajutrz odprawić polecił Bolesław nabożeństwo do Najświętszej Panny, co następnie w zwyczaju pobożnym stale zatrzymał.” W innem miejscu opowiadając, jak pokutował Bolesław po zgładzeniu Zbigniewa, nadmienia: „Bez wyjątku też dnia każdego, w otoczeniu biskupów i kapelanów, pieszo i boso postępował, dopóki Godzinek o Najświętszej Pannie, dziennych Godzin Kanonicznych i siedmiu Psalmów Pokutnych, wraz z Litanią, nie odmówił, a często do tego jeszcze przyłączał Psałterz dalszy z Wigiliami za zmarłych.“

Co do pierwszych pieśni, śpiewanych w Polsce na cześć Maryi, musiały one być łacińskie, przyniesione z krain zachodnich. Ponieważ nie były dostępne dla ogółu wiernych, nie mogły zrastać się z ich duszą i rozszerzać czci dla Maryi. To też pojawienie się pierwszej pieśni polskiej, sławiącej Bogarodzicę, musiało mieć ogromne znacznie w tym kierunku. Bo oto zasłona wyrazów łacińskich, zakrywająca postać Maryi, odchyliła się i wizerunek słodkiej Matki-Dziewicy Niepokalanej raz pierwszy ukazywał się w pieśni oczom ludu polskiego bezpośrednio:

„Bogarodzica-Dziewica, Bogiem sławiena Marya! Twego Syna Gospodzina Matko zwolena Marya! Zyszczy nam, spuści nam Kyrie elejson.“

Nie można napewno powiedzieć, czy to była pierwsza pieśń w mowie polskiej na cześć Maryi, bo posiadamy wiadomość, że już w założonym przez Świętą Kingę klasztorze Panem Klarysek w Nowym Sączu, za życia tej królowej, śpiewano pieśni polskie ku czci Maryi; ale to wiemy napewno, że jest najstarszą, jaką znamy, pieśnią polską na cześć Bogarodzicy, przytem najstarszą wogóle znaną pieśnią polską.

Jest tedy ta pieśń dla nas początkiem, pierwszem słowem poezyi polskiej. Jak kropla rosy w promieniach słońca, skupia już w sobie blask świetny, unoszący się nad postacią Maryi. Marya w tej pieśni jest i Matką Boga, i Dziewicą, przez Boga wyniesioną, wysławioną po nad wszelkie stworzenie. Jej Syn jest Panem świata, On Sam obrał Ją Sobie za Matkę Czegoż ta Matka nie dokaże, gdy prośby ludzkie i błagania do Niej zanoszone, poleci macierzyńskiem sercem Synowi

Swemu. Spełnią się nadzieje błagających, odpuści Bóg winy grzesznikom, zmiłuje się nad ludźmi. Jeżeli sobie uprzytomnimy z jednej strony niekarność i krewkość ówczesnego pokolenia, z drugiej zaś obawę potępienia, to snadnie zrozumimy, czem stawała się dla onego pokolenia Ta, przez którą najpewniej można było uzyskać odpuszczenie grzechów i ziszczenie pragnień swoich.

Niewiadomo dokładnie kto był autorem tej pieśni, badacze zabytków dawnych do jej źródła jeszcze nie dotarli. Na widownię dziejową wypłynęła nagle, jako pieśń wojenna, dopiero w pamiętnej bitwie króla Jagiełły z Krzyżakami pod Grunwaldem, ale znano ją o wiele, wiele dawniej.

Pod Grunwaldem pieśń „Bogarodzica“ dała rycerstwu polskiemu świetne zwycięztwo, które umieściło Polskę w szeregu najpotężniejszych mocarstw Europy; przeto nic dziwnego, że zwycięztwo rzeczone otoczyło ją nadzwyczajnym urokiem, uczyniło sławną i narodowi drogą. Niewątpliwie też przyczyniła się ta pieśń do wzmożenia w Polsce czci dla Maryi. Dowodem tego, że gdy wkrótce potem sobór w Bazylei ogłosił naukę o Niepokalanem Poczęciu Maryi, a nauka ta z razu nie nie była ogólnie uznaną, bo tak się zwykle dzieje z każdą prawdą, to w Polsce dogmat ten znalazł gorliwych obrońców. Do takich należeli: Paweł z Pyszkowic, który nauczał w Akademii krakowskiej i napisa rozprawę o Niepokalanem Poczęciu, oraz hymn na cześć Maryi; Sędziwój Czechel, który przez lat wiele gorąco bronił tego dogmatu i domagał się od Dominikanów krakowskich, żeby usunęli ze swego kościoła rzeźbę z nim niezgodną. Wreszcie obrońcami dogmatu byli Ojcowie Bernardyni, którzy śpiewali i lud za sobą pociągali do śpiewania pieśni: „O, Marya, Tyś Córka Boska, wszystkich grzesznych radość wielka, pirwym grzechem nie zmazana...“

Lecz najwyraźniejszy dowód wielkiego znaczenia, jakiego nabrała pieśń „Bogarodzica” od czasu bitwy pod Grunwaldem, złożył kanclerz Królestwa Polskiego, Jan Łaski, w „Statucie praw polskich“, który wydał w r. 1506. Umieścił on tę pieśń na czele „Statutu“, nazwał ją „ze wszystkich najpobożniejszą, jakby wyrocznią Królestwa Polskiego.“ On to również przypisał utworzenie jej Ś-mu Wojciechowi, o czem jednak ani Długosz, słynny dziejopis, ani żywociarze Ś-go Wojciecha nie wspominają a co odtąd, aż do niedawnych czasów, stało się mniemaniem ogólnem.

„Bogarodzica“, jak ją Łaski na czele „Statutu“ podał, rozrosła się już była do szesnastu strof a stało się to w ten sposób, że do właściwej, pierwotnej pieśni, dodano różne inne pieśni religijne i wszystko uważano za całość jednolitą. Przyrost taki trwał dalej, a cześć dla pie-

śni nie ustawała, chociaż w późniejszych czasach rycerstwo już jej nie śpiewało przed walką.

Tak tedy cześć dla Maryi jest pierwszem słowem poezyi naszej, a w dalszym tej poezyi rozwoju, w stuleciu XV, stanowi główną jej treść. W tem stuleciu poezya polska składa się wszystka niemal z pieśni religijnych, przeważnie wielbiących Najświętszą Pannę. Na pięćdziesiąt pieśni religijnych z tego czasu, więcej niż trzecia część wysławia Maryę. Dowiódł to Mikołaj Bobowski, autor dzieła: „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku.“

Pieśni polskie XV stulecia są zapewne wytłumaczeniem pieśni łacińskich, ale już posiadają wdzięk w wysłowieniu, chwytający za serce. Oto naprzykład jedna z najstarszych pieśni:

„Marya, Czysta Dziewice, daj nam widzieć Boże lice, Niebieska Dziedzice. Jezu Chrysta jeś poczęła, znosiła i porodziła, za nas pierwsza prosiła. Przez ten Twój Najświętszy Owoc, Miła Panno racz nam pomoc, na duszy, na ciele wzmoc. Widz, iżeśmy opętani wielikimi niemocami, przeto proś za nami. Wierzymy, iż Cię wysłusza Ten, co wszystkim światem rusza, Jego wsza twarz (wszystkie stworzenia) słusza. Ty, Najświętsza, modlisz kiegdy (to znaczy: kiedy Ty się modlisz), modlą wszyscy Święci, a gdy milczysz — milczą tegdy (wtedy).“

O tem, że u nas, w XV stuleciu, już próbowano tworzyć samodzielnie pieśni ku czci Maryi, świadczą utwory nieznanego pisarza, znalezione w klasztorze łysogórskim i dlatego „pieśniami łysogórskiemi“ zwane. Wielbią one przymioty Maryi, opiewają najważniejsze chwile Jej życia: Poczęcie, Zwiastowanie i żale pod krzyżem. W tych ostatnich tak się skarży Matka Zbawiciela:

„Posłuchajcie bracia miła, chcęć wam skarżyć krwawa głowa; usłyszycie mój zamątek, co mi się stał w Wielki piątek.

Pożałuj mnie stary, młody, boćmy przeszli krwawe gody. Jednegoćem Syna miała i Tegoćem ożalała (utraciła).

Zamąt czaszki dostał się mnie ubogiej żenie, widząc rozkrwawione me miłe Narodzenie. Czaszka moja chwila krwawa godzin (to znaczy — głowa moja doznała krwawej żałości), widząc niewiernego Żydowina, iż on bije, męczy, mego miłego Syna.

Synku miły i wybrany, rozdziel z matką Swoje rany! A wszakom Cię, Synku miły, w swem sercu nosiła, a także Tobie wiernie służyła! Przemów do matki, bym się ucieszyła, bo już idziesz ode mnie, moja nadziejo miła!

Synku, gdybym Cię nizko miała, niecoćbym Cię wspomagała, Twoja główka krzywo zwisza, tęćbym ja podparła; krew po tobie płynie, tęćbym ja utarła; picia wołasz, piciaćbym Ci dała; ale nie lża dosiądz Twego świętego ciała.

O, Aniele Gabryele, gdzież jest ono twe wesele, cożeś mi go obiecował tak bardzo wiele rzekący: — Panno, pełnaś miłości. — A ja pełna smutku i żałości, spróchniało we mnie ciało i moje wszystkie kości.

Proścież Boga, wy miłe i żądne matki, by wam nie czyniono takie pozory nad dziatki, jakie ja nieboga dzisiaj widziała nad swym, nad miłym Synem krasnym, iż On cierpi męki nie będąc w żadnej winie. Nie mam, ani będę mieć innego, jedno Ciebie, Syna, na krzyżu rozbitego."

Pieśń o zwiastowaniu z tegoż zbioru łysogórskiego tak brzmi:

„Mocne Boskie tajemności o Maryi wielebności chrześcijaństwo wierzy wiernie; jestli nabożne i śmierne (skromne), racz tego posłuchać. Z początku świata Prorocy pisali we dnie i w nocy, jakoby to mogło być, by Panna miała mieć Zbawiciela świata.

Mistrzowie w Piśmie badali, co Prorocy powiadali, iż Ją w figurach widali, Duchem Ś-tym Ją poznali, Matkę wszego świata.

Anna w smutku swego ciała, tego od Boga żądała, by Ją Bóg płodem nawiedził, przez Nią wszystek świat weselił. Joachima smutnego.

Od wieku w radzie poznana, Bogiem Ojcem przeżegnana, by tej Panny matką była, coby smutne ucieszyła adamowe plemię.

Anioł Gabryel k niej posłan, by Jej te dary zwiastował.

Anioł gdy się jej ukazał, wielką radość jej powiedział: — Będziesz w rychle Córę miała, Matkę swego Zbawiciela, ku wielkiej radości.

Z skarbu Boskiej głębokości wyszła krasa z Jej cudności, między kapłany w świętości, między pannami we cności rosła ku obrzędu.

Panna będąc wielce młoda, już prosiła o to Boga, by też sama matką była, coby Chrysta światu dała i panną została.

Anioł Gabryel k Niej posłan, by Jej te dary zwiastował. Pozdrowienie gdy Jej dawał, cudnie się też z Nią rozmawiał Archanioł Gabryel.

— Zdrowaś Ty Panno Marya, miłości Bożejeś pełna, łaską Bożą obrządzona, Duchem Ś-tym napełniona, porodzisz Zbawiciela.

Wszemu światu będzie radość, gdy przyjdzie ten Wielebny Gość z tajemnicy Ś-tej Trójcy, On wykupi Ś-te Ojcy, z ciemnicy i niewoli.

Marya, Dziewica śmierna (skromna), stała jak róża czerwona, przelękła się pozdrowienia, Sama o Sobie nie wiedząc, a już Matką Bożą będąc, przez Ducha Świętego."

Im więcej serca ludzi tamtoczesnych zwracały się do Maryi; im więcej widziały w Niej, jako w ziemskiej Matce Boga, naturalną pośredniczkę między niebem a ziemią, a w Jej macierzyństwie znajdowały pochop do tego, żeby Ją i za własną matkę uważać, tulić się do Niej, jak do własnej matki; im więcej, wobec nieugiętej sprawiedliwości Boga, była Ona dla nich przedstawicielką macierzyńskiej sprawiedliwości i miłosierdzia: tem więcej pragnęli posiąść jak najzupełniejszy Jej wi-

zerunek, poznać najszczegółowiej Jej życie. Z Ewangelistów Marek i Jan dali trocha tylko szczegółów o Maryi; więcej nieco Mateusz, najwięcej zaś Łukasz. Ale to ludziom średniowiecznym nie wystarczało, żądali uzupełnienia tych szczegółów. I oto powstały opowieści, dotyczące Najświętszej Panny, a chociaż Kościół ich nie uznał, jednak ponieważ nie sprzeciwiały się Wierze Ś-tej, ponieważ umacniały i podnosiły serca, więc pozwolił im krzewić się.

Tak tedy, dla zaspokojenia pobożnej ciekawości czcicieli Maryi, służyły szczególnie dwa utwory w początkach XVI stulecia: „Żywot Pana Jezu Krysta“, przez Baltazara Opecia, aż przez dwóch drukarzy naraz wydany w r. 1522 w Krakowie, i „Kazania Maryjne“ Jana z Szamotuł, zwanego Paterkiem. Wspominaliśmy o nich już dawniej w naszym „Dzwonku Częstochowskim“, obecnie wiadomości dawne uzupełniamy.

(D. c. n)





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana Naszego Jezusa Chrystusa
według Ewangelij Świętych opowiedziany
przez Sługę Bożego.

Jezus zwrócił się do uczniów ze słowami tajemniczemi, z których jednak uderzała nieskończona chwała i radosna nadzieja. Nadzieja jest dla człowieka nieodzownym warunkiem wszelkiej siły, wszelkiego wzrostu duchowego; dlatego też Jezus, znając serca ludzkie, promieniem nadziei radosnej pokrzepia i rozjaśnia serca pierwszych uczniów Swoich, na samym wstępie obcowania z nimi. W słowach Jego należy rozumieć myśl taką:

— Niechaj was nie zadziwia ani przestrasza słabość i nizkość Syna człowieczego, Syna rzekomo onego cieśli nazarejskiego, gdyż Syn ten jest prawdziwie Ojcem przyszłego wieku. Wszędy zamknięte nad ziemią niebo nad Nim się otwiera; Aniołowie, od Boga zstępujący, niosą Mu światłość i siłę Bożą. Nieustająca jest i nieograniczona pomiędzy Nim a niebem łączność. Wszystko człowieczeństwo Jego nieustannie wstępuje do Boga i wszystka istność Boga nieustannie na Niego się wylewa

Zapowiedź tajemnicza Jezusa wskazuje uczniom ów węzeł niewypowiedziany, który łączy ich Mistrza ze światem nadziemskim oraz nad-

mienia, że będą świadkami tego życia, którego głębokości żadne słowo ludzkie, nawet natchnione przez Boga, nie przeniknie.

Wiara tych pierwszych wyznawców w zbawcze posłannictwo Jezusa, mimo ich szczerości i zapału, niewątpliwie była jeszcze daleką od przesądów czasu i narodu swego. Zbliżając się do Jezusa za popędem serca i radosnej nadziei, zapewne radzi wmawiali w siebie, iż znaleźli w Nim takiego Mesyasza, o jakim marzyli. Pragnienia ludzkie daleko są od myśli Bożych, ale w miarę, jak dusza się udoskonala, złudzenia pierzchają. Nadejdzie chwila, kiedy owi prostaczkowie galilejscy, lepiej niż wszyscy mędrcy i doktorowie izraelscy, w szkole Mistrza nauczą się i zrozumieją tajemnicę Mesyasza, i jakiego rodzaju jest Królestwo Jego, i to, że będzie musiał cierpieć, i ukryte znaczenie poniżeń Jego, i niepożytą przez wieki trwałość tryumfu Jego. Tymczasem, jak sami mówią, idą uradowani, że znaleźli Mesyasza, a trudno niepodziwiać młodzieńczego zapału i nieustraszonej ochoty, z jaką ulegają urokowi Jezusa, słuchają wezwania Jego, dostępując przez to tej chwały, że mogą siebie nazwać pierwszą Jego zdobyczą.

A od czasu wyjścia Jezusa z Nazaretu, celem przyjęcia chrztu od Jana, ważne zaszły zdarzenia. Bóg Sam się nad Jezusem objawił i w obliczności wszystkiego ludu dał świadectwo o posłannictwie Swego Wybrańca. Nowy Prorok, który wstrząsnął całym krajem, którego wpływowi ulegali wszyscy, — jawnie wskazał Jezusa, jako Mesyasza i Syna Bożego. A mimo, że Jezus, chroniąc się na puszczę, jakby umyślnie unikał oczów i natrętnej ciekawości ludu, to przecież niepodobna, aby rozgłos Jego imienia nie wypełnił już całej Palestyny, przechodząc z ust do ust wśród tej społeczności, która w ustawicznem od wieków oczekiwaniu Mesyasza drżała z radości na samą myśl ukazania się Jego.

Przeto gdy Jezus wracał do Galilei, w towarzystwie kilku wyznawców biednych, nieznanych, rozgłos o Nim już Go tam był poprzedził. Ale miasteczko Nazaret nie wierzyło tym pogłoskom, szerzącym się wśród ludu, tak pochlebnym dla Syna cieśli. Również później, chociaż Jezus słynnemi, cudownemi znakami stwierdził posłannictwo Swoje, nazarejczycy zawsze się gorszyli ubogiem pochodzeniem Jezusa, Jego zajęciem prostaczem rzemieślnika i tem, że nigdzie przecież nauk nie pobierał. Zazdrość, niechęć, nizkie namiętności prostacze uprzedzenia i plotki będą ich zaślepiały aż do końca. Co serce krępuje, to i umysł jakby na klucz zamyka.

Jeżeli wszakże Jezus został niezrozumianym i nieuznanym w tem miejscu, gdzie upłynęły Jego lata niemowlęce i Jego pierwsza młodość, to z jakiem wzruszeniem musiała Go powitać Matka! Z jaką radością Marya witała Tego, którego Sama poczęła i karmiła, a który teraz miał

wreszcie spełnić wszystkie owe wielkie nadzieje, przez lat tyle w Jej sercu macierzyńskiem tajone... Ona lepiej i głębiej przenika tajemnice Syna Swego. Wprawdzie teraz przypadnie Jej to jeno zadanie, że będzie szła za Nim, razem z niawiastami, towarzyszącemi i służącemi Mu w drogach Jego; ale chociaż pozostanie ukryta w cieniu, mimo to nie będzie istniała na świecie istota, w której słowa, i czyny, i zamiary, zgoła wszystko życie Jezusa, Jego boleści i tryumfy, tak żywy, jak w Jej sercu, znalazły spółudział, tak wiernem odbiły się echem...

O spotkaniu się Maryi z Jezusem, wracającym z puszczy, opowiadają Ś-ci Bonawentura i Krzysztof de Kastro tym kształtem:

Czas, który Jezus przebył na puszczy, Marya spędziła tak samo, jak przed wielu laty, zanim jeszcze połączył się z Nią Józef Święty. Sama mieszkała w Nazarecie, pozostawała przeto również jakby na puszczy, bo ze światem żadnych nie miała stosunków. Na bogomyślności trwała nieustannie, księgi święte tem żarliwiej czytywała, ponieważ samą będąc, więc tylko o własnem wyżywieniu i utrzymaniu myśląc, mniej miała zajęć gospodarczych. A że nie wątpiła, iż Jezus na puszczy post ścisły zachowuje, przeto i sama mniej niż zwykle zażywała posiłku, cały czas o chlebie i wodzie przestawała, w niektóre dni nic wcale nie jedząc. Gdy zaś nadszedł dzień powrotu Zbawiciela, przygotowała nieco obfitszy posiłek, przyrządziła nawet parę rybek, a na swoim stoliczku jadalnym umieściła drugie nakrycie, jakby spodziewała się, że lada chwila zasiądzie tu Syn Jej najdroższy. Tymczasem do Jezusa, po odpędzeniu przez Niego szatana, przybyli Aniołowie i rzekli:

— Panie, przez długi czas nie raczyłeś zażywać wcale posiłku; pozwól, abyśmy Ci jaki przynieśli.

Jezus odpowiedział:

— Udajcie się do mojej Matki najmilszej i jeśli ma co dla mnie przyrządzonego, przynieście mi tu. Najchętniej pożywam posiłek przez Nią przygotowany.

Wówczas dwaj Aniołowie odłączyli się od grona tych, którzy otaczali Jezusa i ulecieli do Nazaretu; znalazłszy się tam, weszli do mieszkania Maryi, a pokłoniwszy się Jej, oznajmili, z czem przybywają. Uradowała się Przenajświętsza Panna niezmiernie. Więc nie zawiodła Ją nadzieja, że posiłek, jaki sporządziła, będzie spożyty przez Jej najdroższego Syna. Zaraz też podała go Aniołom, a ci wziąwszy i nakrycie stołowe, przez Nią przygotowane, ulecieli z tem na puszczę. Niebawem wrócili, odnosząc ubogie naczynia i z polecenia Jezusa oznajmili Maryi, że On rychle Sam przybędzie.

Jakoż nazajutrz wyszła Przenajświętsza Panna za miasto na spotkanie Jezusa i ujrzała Go nadchodzącego. Serdeczne było Ich powitanie. Przenajświętsza Panna wpatrywała się w Syna macierzyńskim

wzrokiem, chcąc się przekonać, czy post czterdziestodniowy nienazbyt Go zwątlił. Jezus zaś, odgadując myśl Matki, uspokoił Jej troskliwość, opowiedział, jak ogromne tłumy ludu gromadziły się przy Janie nad Jordanem, zdał sprawę ze Swego pobytu na puszczy i oznajmił, że już musi rozpocząć posłannictwo Swoje, a z tego powodu trzeba będzie, żeby się oboje przenieśli z Nazaretu do innego miasta. Tak rozmawiając, przyszli do Swego ubogiego domku, tam uklękli, pomodlili się, podziękowali Bogu Ojcu, że im pozwolił znów się połączyć.

Dni kilka Matka z Synem spędzili w odosobnieniu, a w tym czasie Marya odbyła obrzęd religijny, niezmiernie doniosłą wagę posiadający nietyle dla Niej Samej, ile dla wszystkich dusz wiernych, bo otworzył on im niebo: oto z rąk Samego Jezusa przyjęła chrzest, a tym sposobem była pierwszą duszą, której Jezus udzielił ten Sakrament Ś-ty, stanowiący bramę do wszystkich innych Sakramentów, przez Zbawiciela następnie postanowionych.

Jezus, po przyjęciu chrztu z rąk Jana, zaczął nieco później Sam udzielać tego Sakramentu, bez którego nikt zbawionym być nie może, o czem Sam nadmienił:

— Jeżeli się kto nie odrodzi z wody i Ducha Ś-go, nie może wejść do Królestwa Niebieskiego.

Lecz pierwszeństwo, po Sobie, w otrzymaniu tego Sakramentu pozostawił dla Maryi. Wprawdzie Marya, jako wolna od skazy grzechu pierworodnego, przez Swoje Niepokalane Poczęcie, a także będąc niedostępną dla najlżejszego grzechu przez całe Swoje życie, mogła się bez tego Sakramentu obejść; atoli skoro Sam Zbawiciel poddał się temu prawu, odtąd każdego ono obowiązuje, więc i Marya, dla przykładu, uwolnić się od niego nie chciała. Postąpiła tu jak ongi, gdy do obrzędu Oczyszczenia, po wydaniu na świat Jezusa, obowiązaną wcale nie będąc, poddała się jednak temu przepisowi.

Jezus, rozpocząwszy od Maryi sprawę odkupienia ludzi, udał się znów nad Jordan i tam Sakramentu Chrztu Sam udzielał. Wtedy powołał pierwszych uczniów.

Niewiadomo napewno, jaką drogą Jezus, w towarzystwie pierwszych pięciu uczniów, wracał z doliny Jordanu do Galilei. Czy przybył naprzód do Nazaretu, idąc na Scytopolis? Czy też, trzymając się innego kierunku, trafił prosto do Kany? To drugie przypuszczenie, o ile sądzić można ze wskazówek Ewangelij, jest prawdopodobniejsze. Odległość od Beth-Abary do Kany wynosi przeszło mil dwanaście. Jezus szybko tę drogę przebył, kiedy już trzeciego dnia po wezwaniu Filipa zastajemy Go w Kanie. Marya Go tam wyprzedziła. Miała w Kanie krewnych i przyjaciół, u których gościła.



Gody w Kanie galilejskiej.

Jan Ś-ty skrzętnie i ściśle zaznacza nazwę tej mieściny, zowie ją Kaną galilejską, dla odróżnienia od innej Kany, położonej w okolicach Tyru. Owa Kana galilejska leżała o dwie mile od Nazaretu, przy drodze Tyberyadzkiej, niedaleko od głównego traktu, łączącego Ptolemaidę z miasteczkami położonemi nad jeziorem Genezaret. Miarkując z obszaru ruin, zalegających wzgórze, na stoku którego wznosiło się dawne miasteczko, musiało ono być dość znaczne. Dziś jest to tylko nędzna wioska, gromada chat wschodnich, bezładnie pobudowanych: Lecz chwilowa obecność Jezusa zapewniła miejscu temu rozgłos wieczysty -- pamięć Jego przetrwała wszelkie zniszczenia. Jak w innych miejscach Ziemi Świętej, cudami Jego wsławionych, i tu kościół, chociaż ubogi, wzniesiony na gruzach dawnej świątyni, ufundowanej ongi przez cesarzowę Helenę, ku uczczeniu cudu, dokonanego przez Jezusa, świadczy o niepożytej trwałości Zbawiciela. Oto co się stało w jednym z domów tej mieściny, tego samego wieczora, kiedy przybył tam Jezus:

Obchodzono w tym domu gody małżeńskie, a według powszechnego zwyczaju Żydów, gody takie trwają dni kilka. Jezus również został wezwany na nie z uczniami Swoimi. Dom przepełniony był biesiadnikami, bo gościnność wschodnia nie zna granic. Niewiasty jednak, według zwyczaju, nie zasiadły do stołu z biesiadnikami, lecz w miejscu oddzielnem od mężczyzn przygotowywały potrawy, czuwały nad służbą, lub przechadzając się po komnacie weselnej, tam pilnowały porządku. Pod koniec godów zaszedł wypadek niemiły: wina zabrakło. Liczba biesiadników była większa, niż się spodziewano, więc zasoby się wyczerpały. Marya spostrzegła zakłopotanie nowożeńców i podzielając ich niepokój, nie mogąc przenieść tego, żeby im nie przyjść z pomocą, szuka ratunku u Syna Swego. Przystępuje do Niego i mówi:

— Wina nie mają.

Czy w tem były jeszcze inne uczucia, które poruszały Jej serce macierzyńskie? Czy w chwili onej miała na myśli te wieści chwalebne, jakie wszędzie głoszono o Jezusie? Czy pragnęła, aby korzystając ze sposobności, ujawnił Bożą moc Swoją? Czy wejrzeniem Swojem i postawą całą Swoją wyraziła Jezusowi, co się dzieje w Jej duszy, owem świętem pragnieniem przejętej? Z odpowiedzi Jezusa można miarkować, że tak było.

Zawsze panujący nad Sobą, zawsze spokojny onym spokojem nadziemskim, którego żadna okoliczność ziemska nie zamąci, usuwa łagodnie Matkę, hamuje gorącą miłości Jej popędliwość i z powagą, jaka przystoi Temu, który w spełnianiu Boskiego posłannictwa Swego nie może powodować się żadnym względem ani uczuciem ziemskiem, lecz jedynie wolą Ojca Swego, rzecze:

— Co mnie i Tobie, Niewiasto? Czemu na mnie nalegasz? Jeszcze nie przyszła godzina moja.

Słowa te są jakoby powtórzeniem i przypomnieniem tego, co mówił w dwunastu leciech do Maryi, gdy znalazłszy Go w świątyni, wymawiała Mu, że Ją opuścił.

— Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba abym był?

Posiada serce macierzyńskie własną swoją, niezrozumianą przenikliwość. Mimo odmowy i jakby skargi Jezusa, Marya ufności nie traci. Czuje, że prośba Jej zostanie wysłuchana, spokojnie polega na dobroci Tego, który — wie Ona o tem dobrze — niczego Jej nie odmówi, dlatego zwraca się do sług ze słowy:

— Cokolwiek wam rzecze, czyńcie

A było tam sześć stągwi kamiennych, według oczyszczenia żydowskiego postanowionych, obejmujących po dwa albo po trzy wiadra. Jezus rzekł sługom:

— Napełnijcie stągwie wodą.

I napełnili je do wierzchu.

Jezus rzekł:

— Czerpajcie teraz, a donieściež przełożonemu wesela.

(Tu Jezus miał na myśli tak zwanego *architriclinusa.* Był to jeden z zaproszonych przyjaciół oblubieńca, który przewodniczył na godach, doglądał porządku, wydawał rozkazy sługom. On przyjmował gości, odmawiał modlitwy przed ucztą i po uczcie, błogosławił każdą potrawę. Dlatego Jezus każe jemu donosić wodę przemienioną w wino).

Słudzy donieśli płyn ze stągwi przełożonemu — a woda już była przemieniona w wino. Gdy skosztował przełożony wesela wodę, która stała się winem, nie wiedział, skądby się wino wzięło, lecz słudzy wiedzieli. Wezwał oblubieńca i rzekł mu te słowa:

— Wszelki człowiek pierwej kładzie wino dobre, a gdy się napiją, tedy kładzie podlejsze. Tyś dobre wino zachował aż do tego czasu.

Cud głębokie sprawił wrażenie na uczniach Jezusa. Mistrz po raz pierwszy ujawnił w ich obecności potęgę Swoją. Przypomnieli sobie tajemnicze słowa, które temu dni kilka do nich powiedział, ukazując na znaki cudowne, jakich całe życie Jego będzie pełne, a przypomniawszy, uwierzyli w Niego, a raczej wiara, z jaką do Niego przystali, silniej się w nich utwierdziła.

Owe gody małżeńskie w ubogiej mieścinie galilejskiej, to z pozoru szczegół najpospolitszy w świecie. Lecz obecność Jezusa nadała im potężne znaczenie i pozostały w pamięci wiernych jako znak, wyra-

żający wierzącemu niewypowiedziane tajemnice. Czyni Jezus wielkiem i nieśmiertelnem wszystko, czegokolwiek się dotknie. Każdy Jego czyn jest słowem żyjącem, które się przechowuje, którego odgłos trwa po wszystkie wieki.

Królestwo Boże, które przyszedł Jezus założyć, są to gody małżeńskie pomiędzy Bogiem a człowieczeństwem. On Sam, jako Oblubieniec wieczny, każdą duszę ludzką wzywa do Boskich z Nim zaślubin. Przemieniona w wino woda jest figurą tej przemiany natury naszej, wskutek potęgi i upajającej mocy Ducha. Matka, wołająca: — Wina nie mają! — zdająca się z ufnością na Jezusa, to głos po wszystkie wieki odbijający się w każdej duszy, która czuje niedostatki życia ziemskiego, czuje wyczerpanie człowieczeństwa i wszelkiego stworzenia; która w tem poczuciu swej niemocy jęczy przed Bogiem: a Bóg za to, czasu ustanowionego, zawsze jej prośbę wysłucha, chociaż często, wedle jej rozumienia, wedle jej pragnienia niecierpliwego, ów termin dużo się opóźnia.

Owo zdarzenie nadzwyczajne dokonało się jakby w cieniu. Przełożony wesela nie domyślił się nawet, jak wielki stał się cud w oczach jego. I nietylko w tem zdarzeniu, lecz w całym przeciągu tego wstępnego okresu życia Swego, Jezus zawsze unika rozgłosu, uchyla się od tłumu, pozostaje ukryty w najbliższem kółku domowem z Matką Swoją i powiernikami. Tylko uczniów Swoich głównie ma na myśli i jak ich pierwszych przypuścił do poufnego z Sobą obcowania, tak również dla nich działa, im Siebie objawia. Do jakiego zaś stopnia jest w pełnem sił Swoich Boskich posiadaniu, o tem świadczy wymownie ona cichość i słodycz, ów spokój niewypowiedziany, z jakim, bez wahania, bez pośpiechu, wypełnia wolę Ojca Swego. Wobec takiego wstępu cichego i pogodnego, jak słoneczne dnia świtanie, nikt domyśleć się nie mógł, tej nawałnicy, jaka koniec Jego zachmurzy.

Ś-ty Augustyn, Ś-ty Bonawentura i inni Święci Ojcowie Kościoła, uzupełniają zdarzenie wyżej opisane mnogiemi szczegółami. Według nich, w Kanie mieszkała siostra cioteczna Maryi, Salome, matka Ś-go Jana Ewangelisty i właśnie w jej domu miały się odbyć gody małżeńskie. Marya, prowadząc od lat najmłodszych życie odosobnione, jakby zakonne, nie miała żadnych prawie stosunków ze światem, nawet rodzinę Swoją rzadko odwiedzała. Szczególniej unikała zebrań rodzinnych, połączonych z wesołemi obchodami, jak zaślubiny lub urodziny. Otóż wiedząc, że w domu Salomy mają się odbyć gody weselne jej krewnego, wcale nie miała zamiaru tam się udawać. Aliści Salome zdołała uprosić Maryę, by raczyła uszczęśliwić gody Swoją obecnością. Uległa prośbom Najświętsza Matka ze względów ważniejszych niż z prostej dobroci serca. Raz dlatego, że dowiedziała się, iż Jezus również będzie

się znajdował na godach. Powtóre uczyniła to z natchnienia Ducha Ś-go, który dał Jej poznać, że obecność Jej ma się przyczynić do zdarzeń, zmierzających ku chwale Bożej i pożytkowi bliźnich.

Przybywszy na gody, wyjednała u Jezusa cud. Sądząc z odpowiedzi Jezusa: — Co mnie i Tobie, Niewiasto, jeszcze godzina moja nie nadeszła — prośba Maryi temi słowy została odrzuconą. Lecz tak być nie mogło. Bóg dlatego to całe zdarzenie w ten sposób przeprowadzić raczył, dlatego w Ewangelii kazał je zapisać, żebyśmy od pierwszego objawienia się światu Jezusa, jako Zbawiciela, mieli naukę, iż chcąc Jego łask dostąpić, trzeba o nie prosić za pośrednictwem Maryi, której Jezus nigdy nic odmówić nie może.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Teologowie mają głos poważny: w każdej epoce Kościoła dziełami swemi przyczyniają się już to do wyjaśnienia prawd religijnych, już to stają w ich obronie. Wszyscy oni, mówiąc o tajemnicy wcielenia—wysławiają Bogarodzicę.

Nietylko współcześni teologowie powołują się na tłumaczenie przyjęte w Kościele — mają swoich poprzedników w czasach dawniejszych, nawet w dobie poprzedzającej scholastyczną teologię. I tak o. Gerhohe kan. regul. od Ś-go Augustyna pisze: „Marya, jako oblubienica Pańska, pierwsze trzyma miejsce. — Czyż po Chrystusie Kościołem najskuteczniej nie opiekuje się, jako matka Apostołów — przecież do jednego z nich było powiedziane: Oto matka twoja. Chystus prosił za wszystkich, aby byli doskonałymi w jedno — wszystkich matką stała się Marya pod krzyżem stojąca.

Nie daremna nasza ufność, kiedy wołamy: „Gwiazdo morza!" Matko Boża, możemy także Jej wzywać. Okaż się nam Matką — monstra te esse matrem. [1])

Ś-ty Anzelm w traktacie o Poczęciu Najświętszej Maryi Panny zwraca się do Niej z takiemi słowy: „O, Pani nasza, jeżeli Syn przez Ciebie stał się naszym bratem, — czyż nie będziesz przez Niego i naszą matką? Czyż, umierając na krzyżu, nie objawił tego Janowi? Oto matka twoja, Grzeszniku, nie trać nadziei; — sąd — wyrok w ręku twego brata, twej matki. Nie zatykaj uszów na ich napomnienia i rady. [2])

---

[1]) Gerhohe de gloria et honore Filii hominis.

[2]) Tract. de Concept. B. Maria n. 33.

Katechizm to teologia wiernych; wszystkie on obejmuje prawdy elementarne — podstawowe — z wykluczeniem wszelkich sporów i spekulatywnych dowodzeń.

Jeżeli tłumaczenie którem się zajmujemy, podaje także katechizm, więc ono jest pewne i jasne.

Przez te słowa, czytamy: *Oto Twòj Syn*, Chrystus Pan chciał wskazać wszystkich wiernych, ażeby Maryę Pannę uważali za Matkę, jako Syna Jej mają za brata. [1])

Przejdźmy teraz do książek ascetycznych: rozmyślań nad Męką Pana Jezusa. Uwagi o Różańcu. O czci Najświętszej Maryi Panny. Kazania na uroczystości — przytoczymy choć jeden wyjątek:

„Jezus, widząc Matkę Swoją i ucznia, którego miłował pod krzyżem — rzekł do niego: Oto matka twoja. Chciał choć w części nagrodzić tę miłość, dla której dobrowolnie zgodziła się na mękę Jego ofiarną za wszystkich ludzi podjętą. Jan na tem miejscu przedstawiał wszystkich chrześcijan i zobowiązywał nas do uznawania Maryi za matkę naszą.“ [2])

„Tak samo jak Jezus Chrystus, ofiarując się dla odkupienia świata — przez śmierć swoją stał się Ojcem wiernych wedle tych słów proroka: *jeśli położy za grzech duszę swą, ujrzy nasienie długowieczne*, tak samo Marya Panna, ofiarując w duchu Syna za grzechy ludzkie, zasłużyła stać się matką dzieci, które przez Chrystusa należeć będą do Kościoła aż do końca wieków.“ [3])

Moglibyśmy powołać się na słowa takich mężów nauki, jak: Alvarez, Jan Awita, Tauler, Segneri i t. d., wszyscy oni prawie jednogłośnie pouczają, że duchowe macierzyństwo Maryi przez Samego Pana Jezusa wskazane i ogłoszone było.

Ale jeszcze mamy liturgię, a i tej wielcy są znawcy i wielcy mistrze, np. Guerauger. Uczony ten benedyktyn mówi nam to, cośmy już od innych słyszeli.

Przywodzi on hymny z wieków średnich.—Wówczas o tej ostatniej woli Chrystusa, wskazującego nam Maryę za matkę, śpiewano w kościołach, a dowodem strofy na dzień Poczęcia Najświętszej Maryi Panny Bolesnej: „Dał swą matkę uczniowi — wielka ta tajemnica — pod imieniem Jana wszyscy wierni się rozumieć mają. To samo drugi hymn opiewa na Matutinum czyli ranne modły. „Przez tajemnicę krzyża Marya stała się matką tych wszystkich, których Syn Jej, przez śmierć

---

[1]) Bougeat Exposition de la doctr. chr. Instit. Catch. per morum Catech. Pong.

[2]) Isai 53, 10.

[3]) Instruct. chret. sur les Myster. de N. S. I. Ch.

Swoją, kupił za syny. Takie jest znaczenie słów, któremi Matkę wskazał uczniowi i ucznia wskazał Matce."

Obracaliśmy się dotąd w czasach nowszych — możemy się cofnąć w epokę wcześniejszą i pokazać nie tylko łączność, ale i zgodność, czyli jedność w wierzeniach.

Georgius, metropolita nikomedyjski, oto w jaki sposób parafrazuje słowa Chrystusa Pana: „Niewiasto, oto Syn twój!" Wiecie, wy, przedewszystkiem, którzyście byli świadkami ostatniej woli umierających, jak słowa one wstrząsają do głębi i jaką sprawiają boleść. Tego, którego otaczano całą miłością, z którym życie słodko płynęło, ma być zastąpionym przez kogo innego... *Oto Syn twój*. Co do mnie, będę wprawdzie z tobą — mocą boskości — naznaczam przecież umiłowanego ucznia i wkładam na niego obowiązek służenia Ci z pobożnością synowską... Blizki jest memu sercu — niech pociesza twe strapione serce... Z nim razem polecam Ci i innych uczniów moich... Bądź dla nich tem, czem jest matka dla dzieci — oni okażą się posłuszną dziatwą. Oddawać Ci będą cześć należną Rodzicielce ich Pana, jako Tej, przez którą zstąpiłem na ziemię, dla *pośredniczki*, która im zawsze ułatwia przystęp do tronu Bożego."

„Po tej pełnej ukojenia mowie do Matki, zwraca się do ucznia: *Oto Matka twoja*! Jakież dziedzictwo —jak wspaniały spadek, zaszczytne zadanie dostaje się ewangeliście—może się nazywać bratem Sprawcy wszech rzeczy. — Oto Matka twoja — powierzam ci Matkę — zajmij miejsce moje... Czyń, co do syna należy, czcij Matkę swego Pana i Nauczyciela... Będę zawsze obecnym — niech będzie przedmiotem twojej pieczołowitości... Stanowię ją matką i panią dla wszystkich uczniów moich — niech będzie opiekunką waszą. Zabroniłem wam wprawdzie zwać kogoś ojcem na ziemi [1]) — jednak ta jest wola moja, byście uznawali za matkę Tę, która się przybytkiem moim stała wyższym nad niebo!... Oto testament Pana naszego Jezusa Chrystusa. [2])

Ścisły mają związek ze zdarzeniem na Górze Kalwaryi słowa, które Jan Damasceński kładzie w usta Apostołów wobec umierającej Najświętszej Maryi Panny i każąc Jej odpowiadać: „Pozostań z nami, Pocieszycielko nasza — wspólna ucieczko nasza. Nie zostawiaj nas sierotami, wystawionych na niebezpieczeństwa dla imienia Syna twego...

Żyć z tobą to szczęście prawdziwe i szczęściem byłoby z tobą umrzeć. Ale czemuż mówić o śmierci? Dla ciebie umrzeć, to żywot doskonalszy rozpocząć. Tak mówili synowie. Matka zapomina o sobie, myśli o dzieciach — a prośba w ich imieniu, to odpowiedź cała: Synu,

---

1) Math. 23, 9.

2) Georg. Nicrm. Or. 8 in SS. Mariam assistentem Cruci P. G. c. 1476.

weź duszę moją... Tobie ją oddaję — nie ziemi... Błagam Cię, wspomóż mojem odejściem zasmucone dzieci, które raczyłeś mianować bracią swoją. Kiedy im błogosławię i Ty opatrz je łaską swoją. [1])

Ileż nam po rozważeniu tego wszystkiego powinno przybyć ufności w opiekę Najświętszej Maryi Panny, ile czci i prawdziwej pobożności, kiedy się znamy być jej dziećmi. Bądźmy dla Bożej Rodzicielki tem czem się stał Jan. — *„I od tej godziny wziął ją uczeń na swą pieczą"* Jak Marya do Niego należała, tak Jan służył Matce Mistrza swego. Kochał Pana Jezusa, umiał się obchodzić z Matką Jego. Powtarzamy przykazanie: Czcij ojca twego i matkę twoją — wiemy, jakim był synem Pan Jezus, jaką Matką Marya — dla każdej chrześcijańskiej rodziny dany jest przykład i wzór, aby czynili na ten kształt, jeżeli chcą żyć i błogosławieństwa Bożego zażywać.

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



[1]) S. Ioan Dam. hom. 2 in Dormitione.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Dzwony biły, muzyka na wieży grała. Widok onej garści bohaterskiej porywał i zdumiewał. Ten lud pobożny, uniesiony uczuciem, zagrzany odwagą, jakby nieziemską; owa szlachta, pomieszana z chłopkami i na równi z nimi broniąca swoich świętości, a obok, w kościele, rozbrzmiewający w przestankach gromów armatnich śpiew zakonników: wszystko to tworzyło całość niepospolicie majestatyczną.

Kordecki długo się modlił. Zdał swą władzę na dwóch wodzów, krzyżem leżał, błagając o pomoc z nieba. Po Mszy Ś-tej, po Litanii Loretańskiej, wystawiono Przenajświętszy Sakrament i szeroko, jękiem pełnym wiary żywej, rozległo się:

— Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!

Przeor zbliżył się do ołtarza, ujął złocistą monstrancyę Zygmuntowską i szedł z nią za kościół. I oto obnosi dokoła twierdzy Pana nad Pany, Boga, a towarzyszą mu Chóry Aniołów, odwracając lub osłabiając groźne pociski...

Szwedzi po przez dymy spostrzegli monstrancyę, lśniącą w słońcu, chorągwie i biały pas zakonników. Przeor, ze łzą w oku, z obliczem natchnionem, z Bogiem w sercu, jak męczennik, idący na stracenie za wiarę, kroczył wolno wśród piekielnego dział grzmotu... Za nim nielicz-

ni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli również podniesieni duchem. Niebezpieczeństwo ich upajało.

Wszędzie, po drodze procesyi, padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił. Kule przelatywały nad jego głową, a gdy się zbliżył ku ścianie południowej, ogromne złomy murów, cegieł i gruzu zaczęły się sypać na procesyę. Nie zatrzymał się, czuł, że idzie z Wszechmocnym. Wśród rumowisk, wśród strzałów, kroczył spokojnie i cało. Żadnego też z ludzi ani kule, ani murów obłamy, ani cegły, nie zadrasnęły nawet.

Obszedłszy dokoła mury, przeor z towarzyszami wrócili do kościoła. Tam wystawiono Przenajświętszy Sakrament, aby Bóg, nieustanną błagany modlitwą, nie odmawiał pomocy. Następnie w kościele pozostało tylko kilku starców, reszta udała się do baszt, do dział, na kortyny. Przeor, pragnąc służyć przykładem, zaczął znosić w połach habitu kamienie i ziemię.

— Księże przeorze! — obruszył się Zamoyski—a toż się nie męczcie... Obejdziemy się bez was, prosimy raczej o modlitwę...

— Modlitwa modlitwą a praca pracą — odparł Kordecki. — Niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą. Znają się one z pracą, od dzieciństwa nie próżnowały.

I westchnął, młodość wspomniawszy.

Mury w wielu miejscach pękać zaczęły; kule, coraz zręczniej kierowane, więzły w ścianach, rozbijały okna, wyszczerbiały szczyty. Co chwila odzywał się krzyk, oznajmiający nową jakąś szkodę.

Między dwiema mocnemi basztami, kortyna, na którą Szwedzi wywarli całą siłę, chociaż od wierzchu nadszczerbiona, od dołu jednak wytrzymywała. Łatano ją worami ziemi, drzewem, gruzem, co się znalazło pod ręką. Mimo zajadłości nieprzyjaciela, trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni zabiły w stajniach kule i dwa koła armatnie zdruzgotały.

Około południa zjawił się u bramy parlamentarz — Kordecki wyszedł na galeryę.

— Macie chyba dosyć — przemówił Szwed — chcecie się poddać?

— Zostawcie nam czas do jutra, musimy się namyśleć — odparł przeor.

Miller, taką odpowiedź otrzymawszy, krzyknął:

— Zguby chcą swojej! Dobrze! Więc znów szturm! Ognia! Ognia!

Puszkarze szwedzcy znów wzięli się do dzieła, kule znów gradem jęły zasypywać klasztor.

Przeor z Zamoyskim stali w miejscu, gdzie najbardziej obawiano się wyłomu — od strony północnej. Kierowali umiejętnie działami, które na wysiłki Millera odpowiadały powściągliwie. Działa w tej stronie

obsługiwał Alsner, Niemiec, przyjaciel wyświeconego Machlera. Zdolny był z niego człek w swoim fachu, ale obowiązki pełnił nieszczególnie. Po usunięciu Machlera, nieco gorliwiej pracował, teraz znów ostygł. Zauważył to Zamoyski i kilkakrotnie go upominał, lecz bez skutku. Armaty jego jakoś nie wyrządzały szkody Szwedom. Na strofowania odpowiadał drwiąco:

— Niby to wszystkie kule trafiać mogą? Szwedzi lepsi od nas strzelce, a paskudnie chybiają.

Zamoyski napomknął przeorowi, że trzeba dla Niemca wynaleźć jakie lekarstwo. Zbliżył się Kordecki do Alsnera, przypatrzył mu się z uwagą, a widząc jawną jego opieszałość, rzekł, po ramieniu go uderzając:

— Słuchajno Alsner, wiele ci Szwedzi obiecali za to, żebyś ich oszczędzał?

— Wasza Wielebność mnie posądza... — wyjąkał znienacka zaskoczony Niemiec. — Mnie tamci obiecać mieli...

— Tobie, bracie, tobie. Powiedz szczerze, otwarcie... może i my na taką nagrodę się zdobędziem.

— Ale ja o niczem nie wiem... Zdarzy się nie trafić, bo... bo to Pan Bóg kule nosi.

— Mój bracie — rzekł Kordecki tonem przestrogi — radzę ci popraw się, jeżeli nie chcesz, żeby cię kara Boża spotkała.

Burknął coś puszkarz, a przeor odszedł, zostawiając go myślom własnym. Ledwie jednak oddalił się o kilka kroków, usłyszał krzyk: to kula, upadłszy niedaleko Alsnera, pękła i odłam jej silnie w nogę uderzył widocznie przekupionego Niemca, który też zaczął wrzeszczeć strasznie. Wnet go otoczono, aby opatrzeć. Okazała się kontuzya lekka, którą sam Kordecki, rękoma własnemi, plastrem z rozmarynu i wina przewinął.

W jednej chwili zmiana nastąpiła w Niemcu. Wstał, acz z trudnością, z twarzą zagniewaną, jakby oburzoną, zbliżył się do dział, kazał podwyższyć dylowania, przyłożył kwadrans, ważkę obejrzał — dał ognia... Pierwsza kula zabiła puszkarza bateryi nieprzyjacielskiej; druga wysadziła wóz z prochami. Stropili się Szwedzi, bo właśnie im prochów brakło... Pan Zamoyski z zadowolenia wąsa podkręcił, dobył z trzosu kilka dukatów i chciał niemi Alsnera nagrodzić. Lecz Niemczyn odsunął datek, bąknąwszy:

— Nie godzi się brać zapłaty za to, że się spełnia powinność.

Podniecony zemstą i gniewem za odniesioną kontuzyę, a więcej jeszcze przestrogą Kordeckiego, nie spoczął, dopóki wszystkich dział nie poprawił.

Wieczór zachodził z wielką oblężonych pociechą, bo dzień ten był dla nich ciężki i długi. Tak wielkie niebezpieczeństwo im jeszcze nie groziło. Szwedzi widocznie przygotowywali się do ostatecznego szturmu, co można było poznać z tego, iż mieli już pod ręką drabiny, kozły i inne w takich razach potrzeby, ale nadzieje ich zawiodły. Wprawdzie znużyli oblężonych, szkody im wyrządzili znaczne, trzysta kilkadziesiąt kul na nich wypuścili: lecz dzięki rannemu nabożeństwu, gorliwości przeora, przykładowi starszyzny, nie zdołali zachwiać ich serc.

Mimo znużenia, jasnogórscy nie wypoczywali tej nocy, naprawiali szczerby w murach i do obrony jutrzejszej się gotowali. Pan Czarniecki, wesoły, ożywiony, uśmiechnięty, chodził, kręcił się, rozkazy wydawał, zachęcał, słodził trud dobrem słowem. Alsner zbliżył się do niego o zmierzchu; rzekł tajemniczo:

— Wiem (jeno nikomu niech wasza miłość nie powiada, iż to ode mnie wyszło), jako jutro od zachodu będą napierali. Machler wskazał, że tam mur najsłabszy. Trzeba temu wczas zaradzić.

— Skądże u ciebie ta gorliwość, Niemcze? Zali nie bałamucisz?— zdziwił się pan Czarniecki.

— Ano... przekonacie się — szeptał Niemiec, a wskazując obóz, dodał: — Grzeją się Szwedy, ogniska sobie porozpalali setne... zadaćby im bobu, przepłoszyć... Po co harmaty mają próżnować?

Panu Czarnieckiemu w to graj. Uśmiechnął się, nadmieniając:

— Słusznie! Zaśpiewamy im „dobranoc!“

Natychmiast z Alsnerem nastawili działa i gdy się tego Szwedzi wcale nie spodziewali, strzały rozpędziły ich od ognisk.

Przeor na odgłos strzałów wnet znalazł się na murach.

— Panie Piotrze, a co to? — zapytał.

— Taka oto igraszka, księże przeorze — odparł Czarniecki. — Szwedy z nas drwią, musieliśmy im przeto pokazać, że z nami żartować nie można. Słyszane to rzeczy, aby nieprzyjaciel pod działami twierdzy ognie sobie rozniecał? Grzali się, jakby w domu, trza ich było *moresu* nauczyć. Niech marzną, psie juchy, kiedy na Matkę Boską nastają.

— Panie Piotrze, boć to noc... I nam wypoczynek się należy...

— A jegomość wypoczywasz? I my za jegomości przykładem czuwać będziem. Mamy roboty huk.

— Jakaż to robota?

— Szwedy jutro od zachodu uderzą, trza mur z tamtej strony umocnić. Alsner mi się z tem zwierzył.

— No, to potrzebujecie rąk, więc i mnie ze sobą weźcie. Bylem północnego chóru nie chybił, służę do roboty.

— Księże przeorze, jegomości rzecz kierować, modlić się, a nam pełnić rozkazy.

— Nie zawadzi, jeśli będę z wami — uparł się przeor. — Słowem was rozgrzeję, odmówim po cichu Godzinki do Opatrzności...

Tak gawędzili, a działa grzmiały dopóty, dopóki Szwedzi nie zagasili ogniów i nie usunęli się w dolinę.

Przeor po północy jeszcze nie spał. W celi swoje konotował wypadki dni ostatnich, z których następnie księgę o oblężeniu miał ułożyć. Pisał tedy:

„W uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, rajtar szwedzki, zaciąty wróg Bogarodzicy, wracając do obozu z Rzędzin, wioski pana Tomasza Przerembskiego, w którego domu bluźnił był bezecną gębą przeciw czci Panienki, poległ przed kościołem Ś-tej Barbary od kuli działowej swoich, innym kierunkiem, niż sobie puszkarz zamierzył, lecącej i od śniegu odskakującej. Tak tedy poniósł słuszną karę z ręki Boga, jako niegodny oglądać słońca, ten, który Najświętszej Rodzicielce wiekuistej jasności i chwały uwłaczał.

Przez dwa dni następne wolniej działał nieprzyjaciel, poprzestając na rzucaniu na dachy klasztorne kul, prochem wypełnionych i smolnemi sznurami okręconych, oraz bomb, lecz bez żadnej szkody, bo jasnogórscy czuwali tam pilnie i gasili śpiesznie, lub też kule zrzucali. Następnie zajmowano się pilnie ustawieniem wielkich dział, które tak tajemnie pod twierdzę podciągniono i przyrządzono, iż straż na murach, chociaż pilna w czuwaniu, przecież wtedy dopiero spostrzegła, że je ustawiono, kiedy usłyszeli straszliwy ich łoskot śpiewający Jutrznię zakonnicy.

Zwolennik kalwińskich zabobonów, mniemając, że niedość srogość swoją nasycić może przez niepokojenie orężem sług Bogarodzicy, umyślił jeszcze zapalczywość swą świętokradztwem powiększyć, wybierał przeto do szturmu dni, ku czci Najświętszej Panny przeznaczone. Jak bowiem w dniu Ofiarowania rozpoczął obleganie klasztoru, tak też w soboty prowadził je całemi siłami, żeby nabożeństwu wzgardę wyrządzić i oblężonym tym sposobem dolegliwszą przykrość sprawić. Zdawało się, że piekło samo paszczę otwarło przeciw obrazowi świętemu, gdyż skoro tylko dzień zajaśniał, miotały działa burzące tak gęsty i straszliwy ogień, od strony północnej i południowej, iż przez ten dzień 340 kul padło, jak to świeccy zliczyli. Ojcowie bowiem jasnogórscy zajmowali się przez ten czas nabożeństwem według swego zwyczaju. Postanowiono odśpiewać Suplikacye przed Najświętszym Sakramentem, z którym gdy po Mszy Ś-tej procesya wyszła pomiędzy przedmurza, sypały się ogromne złomy murów, a świszczące kule, wagi po 26 funtów, przelatywały nie bez wielkiego przestrachu po nad głowami modlących się.

Nikt przecież w tak okropnem niebezpieczeństwie nie udał się na mury przed ukończeniem nabożeństwa. Dopiero po odbytych modlitwach, ufni w pomoc Bożą, co tylko było ludzi płci obojej w klasztorze, podzielili między siebie obowiązki i każdy podług swoich sił przykładał się jak najdzielniej do obrony. W tym dniu padły od kuli trzy konie w stajni, dwa koła u armaty przy północnej baszcie zgruchotano i jedno działo uszkodzono. Trzech młodzieniaszków, imieniem Janów, poległo od kul, głowy postradawszy, poległo i innych czterech tego samego imienia w różnych czasach tak, iżby się zdawać mogło, że każdy Jan miał przeznaczenie ginąć od kuli. A chociaż te wypadki pomieszanie sprawiły niejakie pomiędzy obrońcami, nikt jednak serca nie tracił ani rąk opuszczał, lecz wszyscy z ochotą i troskliwością nieśli pomoc swoim obrońcom: jedni imali się kół i zataczali działa; inni pomagali w kierowaniu ich przeciwko nieprzyjacielowi; inni wreszcie znosili kamienie, drzewo, belki, nawóz, dla zapełnienia wyłomów przy wierzchołkach murów, przez gęste strzały zrządzonych. Ochotnie brali się do pracy dorośli i płeć niewieścia; młodzieńcy i mężowie niepokoili z rusznic puszkarzy przy działach nieprzyjacielskich tak, iż ci nie mogli celnie niemi kierować, — już to, że własnem niebezpieczeństwem zagrożeni byli, już to, że widzieli wielu ze swoich, tuż obok siebie, od kul padających.

Około południa nieprzyjaciel wstrzymał ogień i wysłał dobosza z zapytaniem: czy Ojcowie nie zmienili swego przedsięwzięcia i czyli się zgadzają na przyjęcie załogi króla szwedzkiego, jako protektora Rzeczypospolitej? Gdy odpowiedzieli, że się do jutra namyślą, uniesiony złością Miller puścił wodze swojej wściekłości, kazał na nowo straszliwy ogień rozpocząć i ogromne rzucać pociski, przeraźliwym łoskotem powietrze i ziemię wstrząsając. A z taką przebiegłością kule rzucano, że baszty okrążając, w słabsze ich miejsca kierowano. Szczególne zdarzenie wstrzymało zajadłość Millera, gdyż pięciu artylerzystów od zapalenia prochu oślepło, również puszkarz, kulą działową ugodzony, poniósł karę za świętokradzkie zuchwalstwo, a to w następujących okolicznościach: Przy wschodniej baszcie był przywódcą u dział Niemiec, podejrzanej wiary. Ten dostawszy w nogę kontuzyę od nieprzyjacielskiego strzału, czy uważając to za przestrogę Bożą, czy też z zawziętości, tak celnie swoje działo kierował, że nieprzyjacielskie zdruzgotał, proch rozrzucił i puszkarza tak kulą ugodził, iż śmiercią swą pohamował srogość Millera.“

Dzień ów szturmu, z taką szczerością i prostotą przez Kordeckiego w jego „Pamiętnikach” opisany, był dla Millera dniem samych dziwów. Stary jenerał coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jakaś siła, którą zwał czarami, pomagała zakonnikom. Ludzie jego cho-

ciaż się z tem głośno nie odzywali, wszyscy wierzyli w owe czary częstochowskie. Polacy wciąż im prawili o potędze świętości, a oni, w naszą świętość nie wierząc, sprawę Bożą przypisywali mocy nieczystej. W tem fałszywem mniemaniu gruntowały ich niepowodzenia, jakich ustawicznie doznawali, mimo wysileń, mimo potęgi swojej. Było coś uderzająco niepojętego w szczęśliwym oporze małej twierdzy, słabo obsadzonej, takiemu wojsku, wodzom i działom. Kolubryny i kartauny, ogromnemi kulami bijąc w ściany klasztoru i mury obwodowe, niewiele zrządzały im uszczerbku, Miller zaś musiał już z prochem się rachować. A dnia, o którym mowa właśnie, oprócz znacznych strat w ludziach, w starszyźnie, wysadzono mu cały wóz z prochem.

Smutny tedy miała pozór rada wojenna, zebrana w namiocie Millera. Pułkownicy siedzieli posępni, chmurni, znużeni; sam jenerał ledwie się odzywał; Weyhard w kąt się zaszył. Miller, źle ukrywając niepokój wewnętrzny, wąsa przygryzał, to wstawał i przechadzał się, to znów siadał coś mrucząc; Sadowski bębnił palcami jakiegoś marsza rozpaczliwego na stole; książe heski rzucał bezmyślnie z kubka kości.

— Więc panowie — odezwał się wreszcie Miller — co będzie dalej?

— Jeśli się zaczęło, trzeba skończyć — rzekł książę heski.

— Ba! łatwo to powiedzieć: „skończyć“... Jaćbym rad. Żołnierz się nuży, głodzi, marznie, a mnisi utrapieńcy...

Stary jenerał brwi zsunął i wąsa silniej pociągnął.

— Trzeba jednak przyznać, że bronią się dzielnie, aż miło patrzeć! Jaki zapał, jakie poświęcenie się!

— Dodaj jeszcze, pułkowniku Sadowski — napomknął Miller rzekomo z drwiną — że pomagają im czary. Nasi żołnierze silnie w to wierzą.

— Czary! — roześmiał się Sadowski.—No tak, prostak zapał i wiarę w zwycięztwo snadnie nazwie czarami, bo uczuć wzniosłych nie rozumie.

— Ależ nieustannie prawią o ukazujących się w powietrzu postaciach, o jakichś nieziemskich zjawiskach... Zresztą, na co tu długo szukać czarów, kiedy wszystkie nasze klęski chyba dadzą się niemi tłumaczyć! Kilkanaście tysięcy zaprawionego, walecznego, zwycięskiego żołnierza walczy tyle czasu z marną garścią kilkuset jakiejś zbieraniny i... bez skutku!

— Tego brakowałoby jeszcze — odezwał się z kąta Weyhard — żebyśmy sobie obozowemi plotkami głowy nabijali! Jakież tu dziwy? Wasza miłość, jenerale, byłeś nadto powolnym, wspaniałomyślnym i miałeś mało dział. Traktowanie się wlekło, przytem szturmy były słabe. Ale uderzywszy dzielniej...

— A szturm dzisiejszy?

— Ogień źle kierowano!

— Tak, na wszystko znaleźć można wymówkę.

— To nie wymówka fantazyjna, jenerale. Szturmowaliśmy z północy i południa, a właśnie przeciwnie — od wschodu należało się wysilić. Należało wszystkie działa ku jednej ścianie zwrócić i burzyć nie budowle, bo nic nam po nich, ale jedną kortynę.

— Dobra, mój hrabio, rada; szkoda tylko, że... późna.

— Właśnie w samą porę. Zbieg z klasztoru, Machler...

— Szpieg waćpana — wtrącił Miller szyderczo.

— Zwijcie go, jak chcecie. Otóż Machler uręcza, że ściana zachodnia nawet kilkunastu godzin nie wytrzyma pod ciągłym ogniem. Więc ku niej się zwrócić. Mamy przytem w klasztorze przekupionego puszkarza, porozumiewamy się tajemnie z załogą. Wodzowie się nie poddadzą; ale motłoch nastraszywszy i nadzieją łupu ująwszy...

Miller skrzywił się i zżymnął:

— Waćpan jesteś katolikiem, a prawisz o ujęciu ludu katolickiego nadzieją łupu tego, co lud ten za świętość uważa... Gdzie tu sens!

— To ująć ich obietnicą nagrody innej...

— Et! Z motłochem wiązać się — trudna sprawa! Zdobędę twierdzę i bez tego pomocnika. Takie podstępy zawsze są i sromotne, i zawodne. Waćpan to wiesz najlepiej.

— Przecież — rzekł Weyhard namarszczony — od mojego Machlera wiemy o słabiźnie ściany zachodniej...

— Więc zgoda na ową ścianę zachodnią. Każ waćpan działa wcześnie przewieść, dylowania porobić, szaniec przez noc całą sypać. Ale nasi ludzie niech się nie męczą, bo i bez tego są wyczerpani. Spędzić chłopstwo z wiosek okolicznych: z Rądzin, ze Mstowa, ze Dzbowa, skąd chcecie—i gotować baterye. Jutro, po nabożeństwie, uderzym.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1712 złożył w kaplicy cudownego wizerunku wotum srebrne Piotr Neronowicz, podstoli rzeczycki, z takim napisem: „Na znak pamiątki, tudzież wdzięcznej dzięki, za łaski wzięte cudem z Twojej ręki, o, Matko Droga, nie prę, żem niedbały zwlókł był ofiarę przez czas tak niemały. Przecięś z powietrza dwakroć mnie wyrwała, trzykroć w chorobie ciężkiej ratowała: niechże w mych ustach zawsze będzie pienie, a w Częstochowie darkiem tym uczczenie“.

W tymże roku, do ksiąg klasztornych zapisano zeznanie: „Ja, Wojciech Pawlikowicz, wikary lelowski, doznałem w powietrzu przeszłym łaski i afektu Najświętszej Panny, na Jasnej-Górze cudami słynącej. Gdy bowiem przed dwiema roki administrowałem Sakramenta Ś-te zapowietrzonym po polach, a stąd i sam zapowietrzyłem się, i już na śmierć dysponowałem się, jakom mógł; tylko co oddałem się Najświętszej Pannie Częstochowskiej i obiecałem drogę pieszo na miejsce święte, a przytem obrazek tej Panny Najświętszej tuliłem i przykładałem do piersi na serce, od powietrza zarazy ciężko zalterowane, zaraz tegoż momentu trzęsienie jego ustało i żyw zostałem. Dziś tedy wota moje pełnię, zeznawam i podpisuję.”

Następują dwie notatki o zarazie morowej na Jasnej-Górze. Pierwsza nosi datę roku 1677 i opiewa: „Od r. 1631 nie słychać było o powietrzu w Polsce; dopiero gdy ludzie na nowe zarobili, przez ubiegłe lat 46 i w grzechach przebrali miarkę, znowu plaga Boska w Warszawie naprzód, a potem w Krakowie i w okolicach, chłostała i wychło-

stała wielu, a przy winnych — niewinnym się dostało, jak zazwyczaj. Zasięgła ta plaga i Rusi. Z tak daleka tedy szukali w obrazkach częstochowskich obrony od powietrza i domyślili się niektórzy obrazki te nad drzwiami przybijać i przylepiać przeciw zarazie. Jakoż doznawali pomocy, że tam u nich powietrze nie postało, co niektórzy ichmość z tamtych krajów zeznawali, a mianowicie Jaśnie Wielmożny Felicyan na Podhajcach Potocki, wojewoda sieradzki, który w obecności kapłanów i szlachty na Jasnej-Górze powiedział:

— Tego obrazu świętego podobizny, na domach poddanych moich, obroniły ich od powietrza.

Rozeszła się ta sława wszędzie po Rusi i potem każdy z nawiedzających miejsce święte zabierał ze sobą siłę tych obrazków, a drudzy przez umyślnych przesyłali po nie, jak po doświadczoną tarczę i zasłonę od miecza gniewu Bożego. Tak to Pan Bóg zasługi Najświętszej Panny poważa Sobie, iż i na znaki tylko, albo pamiątkę Jej w obrazach respektuje.

To na Rusi opodal. Zaś poblizku, w Warszawie, Krakowie i okolicach, nie ubezpieczano od zarazy domów obrazkami Maryi, lecz w samem tylko (co więcej znaczy) sercu i ustach mający obraz Panienki Częstochowskiej i obiecujący nawiedzić go, nim się zakładali i obronili od powietrza. Jako Jaśnie Oświecony Jędrzej Książę Trzebicki, biskup krakowski, troskliwy o trzodę swoją pasterz, a sam też z nią w niebezpieczeństwach powietrza zostając, po uczynionem wotum — czemprędzej nawiedził obraz cudowny, zawitał na miejsce święte w asystencyi prałatów i dworu swego, chociaż jeszcze powietrze grasowało w dyecezyi jego, r. 1678, w wigilię Narodzenia Najświętszej Panny, i powitawszy nowonarodzoną Dziecinę Niebieską, z pospolitym Kościoła Ś-go aplauzem, dziękował za konserwacyę zdrowia w powietrzu, z dalszą supliką o to. Zaś w samo święto, po rannem nabożeństwie, rozdawał Sakrament Bierzmowania zgromadzonym. Potem zaraz, jako i przedtem, różni różnego stanu zbiegali się na Jasną-Górę, a z łaski Bożej wypadku zarazy na tem miejscu świętem nie było."

Druga notatka, z datą 1707 roku, opowiada: „Przeszłych lat chłostał Pan Bóg ludzi jedną tylko plagą powietrza, ale tych czasów kilkoma oraz zgromadzonemi plagami karał Polskę, bo wojną, i powietrzem, i głodem dojmował do żywego tak dalece, że co wojna w wnętrznościach królestwa na fortuny, to powietrze na zdrowie i życie biło, pobiło siła, a ostatek niedobitków głód pomorzył.

Powietrze nie minęło żadnego w Polsce miasta ni miasteczka. Zaczęło się ze Lwowa, poszło komunikiem do Krakowa, do Warszawy, do Poznania i okolic, a lubo miejscami ustawało, znowu jednak wracało się. Bywali ludzie z różnych miejsc na Jasnej-Górze na nabożeństwie

w takiej trwodze uciekający się do Najświętszej Panny, których z ostrożnością i pisaniem kartek, sprawdzanych w bramie, puszczano do kościoła, i miano za zdrowych, i ze zdrowego miejsca jako się udawali. Ale któż to mógł postrzedz, co przy którym było, a choć też i domyślano się skąd kto, nie bez podejrzenia zarazy, to poważnym osobom trudno było bronić przystępu. Dopiero kiedy Częstochowa miasto i Częstochówka klasztorna, tudzież inne miejsca pod Jasną-Górą zaraziły się, już większa ostrożność w bramach była, a zatem ludzie też obcy nie nacierali na nabożeństwo do kościoła.

O samych tedy blizkich, jako swoich domowych, trudność była, jako przed nimi ustrzedz Jasnej-Góry. Z żołnierzami i klasztorną czeladzią największa bieda była, gdyż ci, mając domy i gospody pod Jasną-Górą, skrycie wyrywali się do nich, mimo surowego zakazu. I trafiło się, że żołnierz jeden, lubo miał przytulenie swoje na Jasnej-Górze, zarwał zarazy z Częstochowy, gdyż dziecię mu umarło powietrzem między murami, a sam jako zapowietrzony usunięty i rzeczy jego spalono. Niedługo potem krawiec wydał się, że zapowietrzony. I ten także wyprowadzony, a robota jego odebrana nic nie szkodziła odbierającym. Na ostatek kucharz z kuchni klasztornej, cierpiąc takąż alteracyę zdrowia, od dalszego gotowania jadła oderwany i z klasztoru w pole wyprowadzony umarł, jako i drudzy, a w klasztorze, z łaski Bożej i z protekcyi Najświętszej Panny, żaden zakonnik ani świecki odtąd nie zachorował. Owi zaś, jako to żołnierze, z fortecy do fosy wyprawieni, a gdy po nich nic nie znać było, nazad się zdrowo wrócili. I tak przez to całe powietrze przechodzące, a znowu się wracające, z niemałą ludzi po Polsce, jak wymiótł miejscami, ujmą, Jasna-Góra w tak oczywistych niebezpieczeństwach od znacznej zarazy zachowana.

Że Pan Bóg miejsce to i mieszkańców od zarazy powietrza bronił zawsze i broni, to za osobliwym respektem na obraz Najświętszej Panny. I nie dziw, bo (jeśli pomniejsze rzeczy z większemi równać się godzi) jest prawo na to, którem za czasów cesarzów Justyniana, Honoryusza i Teodozyusza szczycili się dworzanie ich, aby im, jako boku pańskiego strażnikom, nic złego się nie działo od innych. A czemużby samej Najświętszej Bogarodzicy Panny, Królowej nieba i ziemi, obrazu strażnicy w tem upośledzeniu mieli być? Ś-ty Jan Damasceński przyznaje: „gdy Najświętsza Panna z ziemi do nieba wstępowała, ustępować z drogi daleko powietrzne mocarstwa musiały, szkodliwe powietrze błogosławieństwem się czyściło, a górne niobiosa od świętobliwości takiej Świętemi się stały.“ Przyznać i to trzeba, że Najświętsza Panna w wizerunku cudownym niedarmo wstęp na Jasną-Górę uczyniła, lecz dlatego, aby wszyscy, z blizka i z daleka mieszcząc się przy niej, przywile-

jów zasłony i obrony tak mocarstwa powietrznego, jako też od zarazy powietrza i innych uczestnikami byli".

W rejestrze łask cudownych, dotyczących wypadków „ogni domowych i piorunowych" znachodzimy wymienione:

R. 1654. Jan Miernowski z Miernowa, w czasie uczty sąsiedzkiej piorunem rażony, upadł bez duszy i przez dni cztery leżał bez przytomności. Wszelako słabe iskry życia w nim tlały. Wezwany kapłan, widząc, iż ludzkie sposoby nie mogą mu zdrowia przywrócić, ofiarował go na Jasną-Górę. Wnet ocknął się Miernowski, jakoby ze snu, i wkrótce do sił zupełnych przyszedł.

R. 1669. Jadwiga Sikorska, mieszczka z Kazimierza, wielbicielka Maryi, doznała od Królowej nieba takiej łaski: Miała ona w domu wizerunek Maryi. Razu pewnego na folwarku jej wszczął się pożar. Sikorska z dziatkami poklękła przed onym wizerunkiem i błagała Panienkę o ratunek. Wysłuchaną została — pożar naraz osłabł tak, że z łatwością go przytłumiono.

R. 1697. Ewę Węglińską, szlachciankę z województwa ruskiego, piorun srodze poraził, że okrycie głowy jej na czworo rozerwał, włosy opalił, piersi i boki przypiekł, obuwie potrzaskał. Straciła zmysły, oślepła, ogłuchła, zaniemówiła, jak martwa leżała przez dwie niedziele. Dopiero gdy ją syn zbolały i domownicy ofiarowali na Jasną-Górę, znak życia dała, poczem zwolna zdrowie jej wróciło.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

VII.

Ładysław z Gielniowa.

Nad rzeczkami Brzuśnią i Gielniówką, w powiecie opoczyńskim, leży osada Gielniów. Niegdyś było to miasteczko, należało zaś ongi do potomków rodu rycerskiego, Brzezińskich, którzy herbem Łabędź się pieczętowali. Pono jeden z tych Brzezińskich, a mianowicie Tomasz Mszczuj z Brzezinek, był miasteczka tego założycielem. On to wyjednał w r. 1455 od króla Kazimierza Jagiellończyka przywilej, na mocy którego w Gielniowie zaczęły się odbywać targi i jarmarki. W sto lat potem, ówczesny dziedzic Gielniowa, Stanisław Brzeziński, zastrzegł, aby mieszkańcy tego miasteczka, za opłatą czynszu dziedzicowi, grunta posiadali i onemi wedle upodobania rządzili; nadał im oraz wolność propinowania piwa, łowienia ryb w rzekach, wrąbu do lasu i paszenia bydła, lecz za to mieli czasu wojny dostarczać dwóch ludzi z końmi i pewną ilość żywności; mieli czasu żniwnego dni pewne odrabiać lub płacić. Przywileje jarmarków miasteczka potwierdził w r. 1620 król Zygmunt III, a w r. 1760 król August III rozszerzył je, sześć nowych jarmarków dodając. Z biegiem czasu Gielniów przeszedł na własność Załuskich i Szaniawskich. Przed laty miasteczko słynęło z wyrobu do-

skonałego piwa. Obecnie liczy niespełna tysiąc mieszkańców, których większość trudni się wyrabianiem osełek i brusów.

Uboga to miejscowość. Posiada kościół parafialny murowany, wzniesiony około r. 1861 na miejscu dawnego, zniszczonego przez pożar. Kościół pierwotny, pod wezwaniem Ś-go Krzyża oraz Ś-tych Apostołów Piotra i Pawła, istniał już w roku 1418, lecz we wsi Brzezinkach. Zapewne dziedzic tamtejszy, jednocześnie z uzyskaniem dla Gielniowa prawa miejskiego w r. 1455, parafię i kościół do nowozałożonego przeniósł miasta.

W tej oto miejscowości przyszedł na świat 1440 roku wyznawca Chrystusa, który wskutek zasług świętobliwych, przez Stolicę Apostolską w poczet Błogosławionych zaliczony został po śmierci. Rodzice jego, pobożni mieszczanie, dali mu na Chrzcie Ś-tym imię Jana. Zdrowo rósł mały Janek, od wczesnego dzieciństwa bojaźń Bożą i zdolności niepospolite zdradzając. Dobrzy rodzice, zauważywszy te zdolności, postanowili je za pomocą nauki należycie rozwinąć, przeto wysłali młodzieniaszka do Krakowa, do tamtejszej akademii. Słynęła owa akademia z mistrzów nauczania doświadczonych. Tam Janek znalazł towarzyszów godnych, pomiędzy zaś nimi Jana z Kęt i Szymona z Lipnicy, do których odrazu przylgnął, a przyjaźń utrzymała się przez całe ich życie. Snać trzech tych młodzieniaszków zbliżyło i węzłem serdecznego afektu związało natchnienie Boże. Wzajem odpowiadali sobie usposobieniem, a z biegiem czasu na mężów świętobliwych wyszli i Patronami kraju naszego zostali.

Jan z Gielniowa pilnie ćwiczył się w naukach, nie zaniedbując przytem ćwiczeń pobożnych, do których od lat dziecięcych był zaprawiony. Codziennie, przed udaniem się do akademii, słuchał Mszy Ś-tej, nadto wszystek czas, od nauki zbywający, spędzał w kościele. Oprócz kilku młodzieńców pobożnych, towarzyszów swoich, których przykładem i słowem do cnoty zagrzewał, znajomił się z zakonnikami, gdyż i jego Bóg łaską Swoją do życia klasztornego przeznaczyć raczył.

Świetnie ukończywszy nauki, postanowił świat opuścić, lecz wahał się w wyborze zakonu. — Wówczas właśnie trafiło się — opowiada ksiądz Floryan Jaroszewicz, kapłan zgromadzenia Ś-go Franciszka Reformatów — że Jan Długosz, kanonik krakowski, powracając z Rzymu, dokąd jako poseł królewski był wysłany, przywiózł z sobą do Polski Ś-go Jana Kapistrana, który świeżo reformę zakonu naszego wszędzie rozkrzewiał. I w Polsce też ją szczepić począł, a tak skutecznie, że mnóstwo ludzi godnych, pobożnych i uczonych do tego zakonu wstąpiło. Sama akademia krakowska dostarczyła mu 130 nowicyuszów, pomiędzy zaś nimi znalazł się Jan z Gielniowa. Aliści ponieważ klasztor krakowski przepełniony już był zakonnikami, przeto odesłano Jana do War-

szawy, do klasztoru tejże reformowanej reguły, świeżo przez Annę księżnę mazowiecką uformowanego.

Wstąpił Jan do nowicyatu w dzień Ś-go Piotra w Okowach, imię Ładysława przy obłóczynach przybrawszy. Dzień ten w sercu i na papierze rytmem kunsztownym upamiętnił, a tak się mocno do służby Bożej przywiązał, że do śmierci onej nie odstąpił. Cokolwiek dobrego w innych spostrzegł, to starał się sobie przyswoić. Anielskiej czystości kwiat nienaruszony zawsze chował pod strażą ustawicznego zmysłów umartwienia. Posłuszeństwo tak ukochał, że w najmniejszej nawet rzeczy woli swej mieć i nad wolę zwierzchności przekładać nie ważył się. Ubóstwo zakonne tak przestrzegał, że nic własnego nie posiadał. Inszych braci we wszelkiej cnocie tak ubiegał, iż był świętobliwości wzorem i zwierciadłem, skąd nietylko zakonowi stał się miłym, ale także wszystkim ludziom przyjemnym, dla piekła zaś przeciwnym i strasznym.

Kapłanem zostawszy, ujawnił wielką żarliwość ku nawracaniu dusz ludzkich. Urząd kaznodziejski w tym celu sprawował z wielkim zapałem. Lubo wszystkie kazania swoje z tych jedynie słów wywodził: „Jezus Nazarejski Król Żydowski“, z tego jednak źródła niezliczone strumienie nauk zbawczych spływały. Żeby słuchaczów zagrzać do czci i miłości Najsłodszego Imienia Jezusa, wzorem Ś-go Bernarda Seneńskiego, to imię, wyrzezane lub wymalowane na tabliczce, podczas kazania w ręku trzymał i przed ich oczy stawiał.

Gwoli pobudzenia wiernych do nabożeństwa, pieśni układał różne i te po kazaniu z ludem śpiewał. Pomiędzy innemi ułożył Koronkę w której zawarł Tajemnice Wcielenia i Męki Jezusa, Tajemnice Najświętszej Maryi Panny, oraz prośby o różne łaski Boże. Koronka ta przez czas długi przechowywaną była w nabożeństwie, a Jego Świętobliwość Papież Pius V tym, którzyby ją odmawiali ze szczerem sercem, odpust nadał zupełny. Słowem Ładysław wszelkiemi sposoby usiłował wiernych do chwały Bożej pociągnąć, a usiłowania skutek miały pomyślny.

Przełożeństwo, uznając gorliwość Ładysława, uznając zdolności jego nadzwyczajne, powierzało mu ważne urzędy zakonne, chociaż on nie rad je przyjmował, bo pragnieniem duszy jego była praca dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich tym kształtem prowadzona, aby osoby jego nie wyróżniała i w oczy nie rzucała. Lecz posłuszeństwo ściśle obserwując, musiał urzędy piastować. Więc bądź zarządzał klasztorami pojedynczemi, bądź też pracował jako prowincyał. Na stanowisku prowincyała zostawał lat piętnaście, przyczyniając zakonowi i wiernym niewypowiedziany pożytek. Jako prowincyał, miał w zarządzie aż dwadzieścia cztery klasztory, rozrzucone po całym kraju, które przeważnie odwiedzał pieszo, o żebranym chlebie. Braćmi rządził miłością i wyro-

zumiałością, do ścisłego przestrzegania reguły pociągał ich przykładem własnym. Dwa razy w sprawach zgromadzenia podróż do Rzymu odbył, zawsze pieszo i zawsze z jałmużny się żywiąc. Raz udał się do Miasta Wiecznego na Kapitułę generalną, a drugi raz, żeby obronić braci zakonnych przed Stolicę Apostolską od jadu niecnych oszczerców. Obrona ta jego tak była skuteczną, że zakon dobrą sławę odzyskał, a potwarcy klątwą Ojca Ś-go ukarani zostali. Będąc prowincyałem, ułożył dla prowincyi ustawy tak właściwe i mądre, że je Kapituła jeneralna, odprawiana r. 1498 w mieście włoskiem Urbino, na cały zakon rozciągnęła.

Za czasów Ładysława, królewicz Aleksander, wnuk króla Władysława Jagiełły, panował z rozkazu ojca swego, króla Kazimierza, w Wielkim Księstwie Litewskim, zanim po bracie swoim starszym, Janie Olbrachcie, na tronie polskim zasiadł. Otóż królewicz rzeczony bardzo się tem martwił, że na Litwie jeszcze wiara chrześcijańska nie ugruntowała się należycie, jeszcze musiała walczyć z resztkami pogaństwa i co więcej — podkopywali ją odszczepieńcy. Działo się tak z powodu braku kapłanów i mężów apostolskich. Przeto królewicz, dowiedziawszy się o gorliwości apostolskiej Braci Ś-go Franciszka, zwrócił się do Ładysława z prośbą, aby mu ze zgromadzenia swego przysłał zdolnych i gorliwych robotników, którzyby z pogaństwem i odszczepieństwem skutecznie walczyli. Skwapliwie zadość uczynił Ładysław żądaniu królewicza, wysłał na Litwę wielu zakonników, którzy naprzód w Połocku osiadłszy, stamtąd rozchodzili się w różne strony, niosąc z sobą światło nawrócenia dla dusz ludzkich. Było to apostolstwo trudne, z wielkiem niebezpieczeństwem i mozołem połączone, gdyż zabobony pogańskie kryły się po okropnych puszczach i kniejach dzikich. Bóg jednak błogosławił tej pracy. Zakonnicy 10 tysięcy pogan wiarą Chrystusa oświecili i tyluż odszczepieńców do Kościoła Ś-go rzymsko-katolickiego pociągnęli.

W tymże czasie w miasteczku Skępe, które w Ziemi Dobrzyńskiej leżało, objawiła się Najświętsza Panna pewnemu bogobojnemu szlachcicowi. Szlachcic ufundował tam mały klasztor dla Ojców Bernardynów, a Ładysław zakonników swoich w tym klasztorze osadził.

W r. 1409, za panowania króla Jana Olbrachta, Turcy i Tatarzy z niezliczoną potęgą najechali Polskę, ogniem i mieczem niszcząc wszystko po drodze. Ładysław wtedy nakazał w całej prowincyi zakonnej posty i nabożeństwo. Sam obchodził miasta i wioski, gorącemi słowy pobudzał lud do modlitwy i pokuty, a przykład jego pociągał także duchowieństwo świeckie. Wtedy również ułożył krótką modlitewkę, którą usilnie rozpowszechniał. Oto modlitewka rzeczona:

„Jezu Nazarejski, Królu Żydowski! Powstań i zetrzyj barbarzyńskie narody, a daj zwycięztwo chrześcijańskiemu ludowi, aby wielkiego Boga potęgę wysławiał na wieki“.

Nie zadawalając się mozołem, sam sobie przyczyniał różnych umartwień ciała i postów, niekiedy noce całe na modlitwie przed ołtarzem Panienki Najświętszej spędzał. I wybłagał za Jej przyczyną miłosierdzie Boże dla kraju. Bóg odwrócił klęskę, zesławszy wczesną i niezwykle ostrą zimę, która pohańców zniszczyła ze szczętem.

Tak pracując niezmordowanie, wciąż w umartwieniach ciała trwając, Ładysław do takiego stopnia bogomyślności przyszedł, że często zatopiwszy się w Bogu, słodkie zachwycenie ducha miewał. Ustawicznie się też, z wielką zawsze pokorą, wypraszał od godności prowincyalskiej, aby żyć w niezamąconym spokoju ducha i miłej samotności. Lecz dopiero w sędziwych latach odjęto mu z bark ciężar godności wysokiej. Wtedy też chciano zasługi jego nagrodzić, przeto uradzono, żeby sam sobie klasztor obrał, dla spędzenia lat ostatnich i towarzysza do posługi. Zawiadomiony o tem przez jednego z Ojców, rzekł:

— Cóż to mówisz, Ojcze? Jam ślubował Bogu posłuszeństwo aż do śmierci, dlaczegóż chcecie, iżbym przy schyłku żywota, kresu dochodząc, wolą własną się rządził, obierając sobie klasztor i towarzysza? Owszem, pragnę w posłuszeństwie umierać. Niech czynią ze mną Ojcowie, co im się zda. Gotów jestem na wszystko. Jeszcze w sobie czuję siły do służenia zakonowi.

Wyznaczono mu mieszkanie w klasztorze warszawskim. Przeniósłszy się tam, nie przestawał pracować dla swego i wiernych zbawienia, ćwiczył duszę rozmyślaniem, kazaniami umacniał serca wiernych w Bogu. Gdy post Wielki nadszedł, zdwoił umartwienia cielesne, a noce na rozpamiętywaniu Męki Jezusowej trawił. Zapalony ogniem Ducha Ś-go, wszedł w piątek Wielki na ambonę, aby to, czem serce jego napojone było, wylać na serca zgromadzonych wiernych. Ze zdumieniem patrzyli wszyscy na onego kaznodzieję, postami wysuszonego, przemawiającego z mocą wielką. Gdy Tajemnice Męki Pańskiej wdzięczną wymową i serdecznym afektem jął przekładać, ze wszystkich oczu łzy się puściły, wszystkie serca uczuły żal i skruchę. Wstrząsł się kościół od płaczu, jęków i wzdychania, taką potęgą obdarzył Bóg gorliwego sługę Swego. Po chwili, począł mówić Ładysław o obfitem krwi Jezusa wylaniu, przy biczowaniu srogiem, a mówiąc o tem, zwrócił oczy na wizerunek Jezusa biczowanego, podniósł głos i zawołał.

— O, Jezu! O, Jezu! O, Jezu mój kochany!

Naraz zdrętwiał, wpadł w zachwycenie — i oto siła nieziemska uniosła go w powietrze nad ambonę. Czas pewien zostawał w powietrznem wzniesieniu, jakby skamieniały. Twarz jego wyrażała błogość nie-

wypowiedzianą, po zapadłych policzkach łzy obfite spływały... Potem leciusieńko opuścił się na ambonę. Przybieżali zakonnicy, wzięli zachwyconego na barki i ponieśli do infirmeryi. Oprzytomniał tam, lecz już tylko z Bogiem rozmawiał lub o Nim mówił, w ten sposób przygotowując się do śmierci szczęśliwej. Rychle też odszedł do Boga, posilony Sakramentami Świętemi, — odszedł jasny, promienny, naznaczony łaską Wszechmocnego, zostawiając po sobie błogie światło przykładu dobroczynnego. A stało się to r. 1505.

Gdy się rozeszła wiadomość o zachwyceniu i zgonie Ładysława, lud wszelki — ubodzy i bogaci, światli i prostaczkowie, tłumnie się zbiegli na pogrzeb Wybrańca Bożego. Ze łzami rzewnemi całowano jego nogi, ręce, habit, a głos powszechny już wtedy go za świętego uznał. Między innymi, w tem pobożnem przekonaniu utwierdzona była Siostra Małgorzata, należąca do trzeciego zakonu Ś-go Franciszka, w świecie znana, jako księżniczka mazowiecka. Ta, dowiedziawszy się o zgonie Ładysława, chciała w dzień pogrzebu za duszę jego zmówić kilka pacierzy. Aliści nie mogła skończyć modlitwy. Kilkakrotnie ją zaczynała i za każdym razem coś ją wstrzymywało. Obawa ją przeto zdjęła, gdyż nie potrafiła sobie onej przeszkody dziwnej wytłumaczyć. Aż przyszło na nią oświecenie od Boga, że dusza zmarłego nie potrzebuje modlitwy, gdyż przyjętą została do Chwały Niebieskiej i tam raduje się szczęśliwością wiekuistą. Więc zawołała w głos — a działo się to przy trumnie Ładysława, w obecności tłumów niezliczonych:

— Uznaję Mężu Święty, że nie potrzebujesz modlitw ode mnie grzesznej, bo zażywasz błogosławieństwa w niebiesiech. Lecz ja twojej przyczyny potrzebuję i onej się oddaję.

Taż Siostra nadmieniła następnie, że mówiąc te słowa, czuła w duszy taką słodycz, taką błogość, jakiej nigdy w życiu nie doznawała.

Utwierdził Bóg to samo cudem — opowiada Ojciec Jaroszewicz — na pewnym szlachcicu, o milę od Warszawy chorującym, który już blizkim śmierci będąc, gdy się dowiedział o zgonie Ładysława, dobrze mu znajomego, wykrzyknął żałośnie:

— Smutno mi, iż ojczyzna moja postradała tak Świętego Męża! Modlitwom jego, ja nędzny, się oddaję i pokornie go proszę, aby mnie, strapionemu, był pomocą, to zaś czynię, ponieważ wierzę, iż on w niebiesiech teraz się znachodzi. Ojcze Święty! Módl się za mnie, grzesznika niegodnego, przybywaj na ratunek umierającemu!

Ledwie to wymówił, zaraz ozdrowiał i z łoża powstał. Niezwłocznie też udał się do Warszawy, aby tam, w klasztorze Ojców Bernardynów, za doznany cud Bogu podziękować.

Ciało Ładysława pochowano w kościele klasztornym, pośrodku chóru zakonnego, w tem miejscu, gdzie lampa płonie przed Najświętszym

Sakramentem. Miejsce to oznaczono wielkim kamieniem. Tam przez lat 62 spoczywały święte zwłoki, czczone nieustannie przez nabożeństwo i ofiary wiernych, którzy tym sposobem wdzięczność Ładysławowi okazywali, za doznane, przez jego pośrednictwo, łaski cudowne od Boga.

A łaski owe wciąż się mnożyły, co zwróciło uwagę arcybiskupa gnieźnieńskiego, Stanisława Karnkowskiego, wielkiego przyjaciela Ojców Bernardynów. Ten dostojnik Kościoła, przybywszy r. 1572 na sejm do Warszawy, odwiedził kościół Bernardynów. Wszedłszy do świątyni, ku chórowi zmierzał, naraz potknął się i upadł na ziemię. Powstawszy, zauważył, że przyczyną upadku był kamień jakiś, przeto zapytał Ojców Bernardynów:

— Co to za kamień w tem miejscu?

Odpowiedziano, że to nagrobek Ojca Ładysława, którego Bóg różnemi cudy rozsławia. Arcybiskup rzekł wtedy:

— Mocno się dziwuję, Ojcowie mili, iż tak drogą perłę bez czci trzymacie i wręcz wam mówię, że tak się nie godzi.

Jakoż arcybiskup począł rozważać, czyby nie był powinien kości Ładysława z grobu podnieść gwoli ich uczczenia, a rozważając, wzywał przyczyny Wybrańca Bożego, iżby na umyśle oświecony został. Jakoż dnia pewnego ukazał mu się jawnie Ładysław, oznajmując:

— Wolą Bożą jest, aby kości moje były z ziemi wyniesione i na uczciwem złożone miejscu, dla pociechy i pożytku wiernych.

To powiedziawszy, zniknął.

Arcybiskup, zostawszy tak utwierdzonym, zwierzył się z zamiarem dwom kardynałom, w Warszawie przy królu będącym, a mianowicie: Franciszkowi Komendonusowi i Wincentemu Portikusowi. Obaj byli nuncyuszami Stolicy Apostolskiej. Kardynałowie jednomyślnie uznali, iżby pilnie zbadać życie Ładysława, jego cnoty i zasługi, oraz łaski cudowne, za jego sprawą krzewione. Tak się też stało, wynikiem zaś badań był dekret opiewający, iż sprawiedliwą jest rzeczą, aby ciało Ładysława zostało przeniesione i w innem miejscu ze czcią przystojną pochowane.

Ceremonię przeniesienia zwłok wyznaczono na niedzielę Przewodnią. Odbył się obrzęd w asystencyi niezliczonych tłumów. Przybył król Zygmunt August, z rodzoną siostrą swoją, królewną Anną; przybyli wyżej wspomniani kardynałowie, wszyscy biskupi polscy, cały senat, dygnitarze, wszyscy posłowie na sejm zebrani, prałaci, urzędnicy, szlachta... Celebrował arcybiskup Karnkowski, w otoczeniu licznego duchowieństwa. Naprzód długo się modlił, padłszy na ziemię, następnie Mszę o Duchu Ś-tym solennie odprawił, wreszcie kamień grobowy kazał odwalić. Ku ogólnemu zdumieniu, kości Ładysława znajdowały

się nie w ziemi zakopane, lecz tuż pod kamieniem i to w zupełnym porządku ułożone. Nowy ten cud rozrzewnił rzeszę. Arcybiskup Karnkowski podjął kości, winem je obmył i złożył w trumnie drewnianej, którą wmurowano w ścianę kościoła, po prawej stronie ołtarza wielkiego. „Uwielbił Bóg natenczas sługę Swego Ładysława — nadmienia pisarz kościelny — albowiem to wino, którem relikwie jego obmyto, wielu chorych uzdrowiło. Do naszych czasów tedy, to jest do roku 1767, ciało Ładysława spoczywa w miejscu, przy którem jest ołtarz z jego wizerunkiem, gdzie Msze S-te się odprawiają, a ludzie, uciekający się do Boga za jego przyczyną, w różnych potrzebach, uciskach i niebezpieczeństwach, cudownej doznają pomocy.“

Ojciec Wincenty Morawski opisuje dziewięćdziesiąt takich łask cudownych, sprawionych do roku 1633, przez zwierzchność duchowną zbadanych i uznanych. Niżej przytaczamy opisów kilka:

Małgorzata, księżniczka mazowiecka, dla chorującego już ostatecznie Ładysława posłała dwie poduszki, które nieznacznie mu pod głowę wsunięto. Umierającemu krew obficie szła z nosa, a po jego śmierci poduszki, krwią tą zbroczone, odesłano księżniczce. Przezacna księżniczka podarowała je nadwornej swojej, Katarzynie Świderskiej. Ta, w chorobę zapadłszy, poduszki wyprać kazała i na nich głowę złożyła. Niezwłocznie ulgi doznała, a rychle też całkiem do zdrowia przyszła. Księżniczka Anna, dowiedziawszy się o tem, mocno żałowała, iż nie zatrzymała poduszek dla siebie. Czuła nawet ciężkie skrupuły, których się wtedy dopiero pozbyła, gdy do grobu Ładysława się ofiarowawszy, pięć świec przy nim zapaliła.

Szlachcicowi z pod Czerska, Piotrowskiemu, zmarł po ciężkiej chorobie trzyletni synaczek Stanisław. Sam ojciec oczka po śmierci mu zawarł. Matka nie mogła straty dziecięcia przeboleć. Więc rzecze do męża:

— Pójdźmy do grobu Ładysława a prośmy go, iżby nam ożywił synaczka.

Zgodził się na to Piotrowski. Jakoż sama ta intencya wskrzesiła dzieciątko.

Również dwie dziewczynki z choroby zmarłe, a trzecia w studni utopiona, za przyczyną Ładysława wróciły do życia.

To znowu syn Jana Pisarskiego, pisarza ziemskiego sochaczewskiego, uderzony w ciemię kopytami konia, już zdało się konał, lecz ofiarowany przez ojca do grobu Ładysława, uszedł śmierci i ozdrowiał.

Katarzyna Golianowska zapadła tak na oczy, że niemal oślepła. Żadne leki nie pomagały, natomiast gdy się udała do przyczyny Ładysława, oczy wydobrzały zupełnie.

Jan Albert, królewicz polski, dziecięciem będąc, na serce zapadał. Lekarze choroby usunąć nie mogli żadną miarą. Wówczas pobożna mamka królewicza wezwała pośrednictwa Ładysława, a wezwanie skutek pomyślny uwieńczył.

Jadwiga Kerlerowa, matrona zacna, z ciężkiej choroby za sprawą Ładysława wyprowadzoną została. Wkrótce zaczęła w Warszawie grasować zaraza morowa, przeto Kerlerowa, chroniąc się przed nią, wyjechała z Warszawy, zabrawszy ze sobą córkę, Barbarę Delipacynę. Barbara w drodze zapadła śmiertelnie. Już zaniemówiła, lada chwila czekano zgonu. Pobożna matka, z doświadczenia znając skuteczność przyczyny Ładysława, znów o pomoc go błagała i znów nie bez skutku, bo córka ozdrowiała.

Łaski cudownej za sprawą Ładysława doznał Stefan Woliński, pozbywając się konwulsyj, które go niewypowiedzianie srodze trapiły.

To znowu tak się zdarzyło, że syn pewnego szlachcica pod Warszawą umarł. Ojciec zmarłego uczynił ślub, że jeżeli przyczyna Ładysława synowi życie wróci, to wskrzeszonego służbie Bożej, w zakonie Ś-go Franciszka, poświęci. Jakoż zmarły ożył.

Roku 1552 w kraju zaraza grasowała. Ludzie padali, jak muchy, osobliwie w miastach. Do klęski morowej przyłączył się jeszcze głód. Otóż niewiasta pewna, głodem przyciśnięta, udała się z Warszawy, z dwoma synaczkami, do lasu, aby tam chociaż żołędziami się posilić. Gdy stanęła nad Wisłą, blizko kościoła Ojców Bernardynów, spostrzegła na niebie niby tęczę ognistą, na niej siedzącego na Majestacie Sędziego, otoczonego niezliczonemi chórami Aniołów. Po chwili ukazał się smok olbrzymi i straszny, który na miasto ogniem z paszczy zionął i usiłował je cielskiem swojem otoczyć. Naraz przed Majestatem zjawił zakonnik reguły Ś-go Franciszka, upadł na kolana, rozkrzyżował ręce i błagał Sędzię o miłosierdzie dla miasta. Jakoż smok rozpękł się i zniknął, a w powietrzu dał się słyszeć głos:

— Ten, który się modli do Sędziego, jest wielkim przed Panem Bogiem Wszechmogącym. Warszawo, bądź wdzięczna!

Niebawem zaraza ustąpiła głód również. Gdy niewiasta rozpowiedziała o zjawisku, wszyscy jednomyślnie uznali, że zakonnikiem modlącym się był Ładysław. Przeto Warszawa za osobliwego Patrona obrała sobie Ładysława, a Wybraniec Boży w wielu przypadkach ją ratował.

Razu pewnego w pobliżu klasztoru Ojców Bernardynów wybuchnął nocą pożar gwałtowny. Staruszek imieniem Jakub, złożony niemocą, porwał się jednak z łoża i wybieżawszy na ulicę, widząc, że ogień pożera dom po domu i już się do klasztoru zbliża, jął błagać Boga i Patronów Ś-tych o ratunek. I oto obaczył nad samym klasztorem uno-

szącego się w powietrzu Ładysława, który odganiał ogień. Zjawisko niedługo trwało. Gdy zniknęło, ogień zaraz przygasł, nie wyrządziwszy klasztorowi szkody.

Nie zapomina Ładysław o mieście swojem rodzinnem, Gielniowie. Tak tedy r. 1626 grasował w tem mieście mór. Mieszkańcy zarządzili powszednie modły do Boga, wzywając oraz przyczyny Ładysława. Mór zaraz ustał. Mieszkańcy Gielniowa odtąd Ładysława za Patrona miasta uważają, nawet dawny herb miasta zmienili, umieszczając w nim osobę Ładysława, trzymającego w ręce lewej kolumnę, z Jezusem do niej przwiązanym, a w prawej dyscyplinę.

Ponieważ tak w przeszłych wiekach — mówi ksiądz Jaroszewicz — jako i w tym, w którym żyjemy, pomnażało się wciąż nabożeństwo ku Ładysławowi, a za jego przyczyną sprawiał Bóg łaski cudowne, przeto postanowili Ojcowie Bernardyni o kanonizacyę Ładysława się starać. Za dozwoleniem Stolicy Apostolskiej, wdrożone było ścisłe dochodzenie, ścisłe rozważenie zasług Ładysława i cudów za sprawą jego doznanych, a ostatecznie Stolica Apostolska uznała, iż godzien jest Ładysław czci publicznej w Kościele Bożym. W poczet Błogosławionych zaliczył Ładysława Papież Benedykt XIV r. 1750; na prośbę zaś króla Augusta III, małżonki tegoż królowej Maryi Józefy, na instancyę biskupów i senatorów polskich, uznał Ładysława Patronem całego Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Tyle szczegółów przekazali nam pisarze kościelni o Błogosławionym Ładysławie z Gielniowa. Opowiedziawszy je, zwrócimy uwagę czytelnika na warszawski klasztor Ojców Bernardynów, w którym Błogosławiony Mąż żywota dokonał. Z klasztoru tego pozostał tylko kościół. Znajduje się ta świątynia przy ulicy Krakowskie-Przedmieście. Dzieje zachowały nam o nim wiadomość następującą:

Anna, wdowa po Władysławie księciu mazowieckim, znajdowała się w Krakowie, na uroczystościach weselnych króla Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą księżniczką rakuską (austryacką) i na ślubie, który królestwu udzielał słynny świętobliwością Jan Kapistran, zakonnik Braci Mniejszych. Dziewięć miesięcy przepędził bogomyślny ten kapłan w stolicy polskiej, podejmowany przez króla i kardynała Zbigniewa Oleśnickiego z czcią wielką. Nieustannie lud nauczał, z umyślnie w tym celu ustawionej przy kościele Ś-go Wacława kazalnicy, cuda czynił, a to do Krakowa ściągało niezmierne tłumy wiernych. Kardynał Zbigniew, ku uczczeniu tego męża świętego, wybudował przy zamku królewskim kościół Ś-go Bernarda i oddał go Braciom Mniejszym, a zapał, jaki z tego powodu ogarnął młodzież polską do nowego zakonu, był tak wielki, że w krótkim przeciągu czasu przeszło sto osób przyjęło suknię zakonną, a w ich liczbie Jan z Melsztyna, świetnego

rodu i wielkich dostatków młodzieniec. Od krakowskiego kościoła Ś-go Bernarda, zakon w Polsce Bernardynami zwać poczęto.

Księżna Anna podzielała wraz z innymi cześć dla świętobliwego Kapistrana, i zaraz w Krakowie zaczęła go prosić, żeby dał jej kilku zakonników do Warszawy, stolicy jej księstwa podówczas, gdzie również pragnęła wystawić im klasztor. Usłuchał Kapistran, wyznaczył księżnie sześciu zakonników Ś-go Franciszka, nad którymi przełożył Ojca Jakuba z Głogowy. Ci zakonnicy towarzyszyli księżnie w podróży z Krakowa do Warszawy. Przybywszy do stolicy Mazowsza, księżna Anna kazała niedaleko zamku, po za murami jednak miasta, założyć fundamenta nowego kościoła, który na cześć Patronki swojej zamierzyła wystawić. Ale — jak wieść niesie — ziemia raz wraz usuwała się pod kopaczami, Ojcowie Bernardyni z coraz większym żalem zaczęli się przekonywać, że gruntu trwałego dokopać się nie można. Już byli w rozpaczy, gdy nagle ukazała im się Ś-ta Anna, zachęciła ich do pracy, kazała, nie zważając na trudności, coraz głębiej kopać. Jakoż nie zawiedli się zakonnicy i pobożna założycielka Wkrótce natrafiono na grunt stały, założono mocne posady budowie, którą bardzo szybko z cegieł wymurowano. Kościół stanął naprzód, a potem klasztor. Kiedy roboty skończono, biskup poznański, Jędrzej z Bnina Opaliński, uroczyście do gmachów wprowadził zakonników, co się stało dnia 4 grudnia 1454 r. Przeto klasztor warszawski był drugim bernardyńskim w całej Polsce.

Z Krakowa i z Warszawy rozeszli się Bracia Ś-go Franciszka dawnej reguły (*de observantia*) po całej Koronie i Litwie, a rośli tak prędko u nas w klasztory, że niedługo poczęli myśleć o utworzeniu osobnej prowincyi, gdyż dotychczas jedność razem z Austryą i Czechami składali. Wzrostowi zakonu wiele sprzyjała ta okoliczność, że pomiędzy Bernardynami polskimi znajdowało się wówczas wielu mularzy, budowniczych i wszelkiego rodzaju rzemieślników, tak dalece, że nie w jednem miejscu mogli budować klasztory nawet bez pomocy świeckich ludzi przy opiece tylko dobrodziejów. Klasztor warszawski z tego jeszcze powodu jest w dziejach zakonu bernardyńskiego pamiętny, że w nim wiele odbywało się pierwotnych Kapituł, które wielki wpływ wywarły na losy tego zgromadzenia w Polsce. Jakoż najważniejsze wypadki i urządzenia, dotyczące karności, praw i rządu samego, przeważnie obmyślane bywały w Warszawie, zarówno w XV stuleciu, jak i w późniejszych, bo naprzód Warszawa była więcej środkowym punktem kraju, a potem została stolicą, dlatego ściągała na siebie więcej niż inne miejsca uwagę starszyzny zakonnej.

Wydzielenie się polskiej prowincyi zgromadzenia klasztornego z austryacko-czeskiej nastąpiło wprawdzie na Kapitule w Krakowie w r.

1467; ale Maryan z Jeziorka, wybrany tam prowincyałem polskim, zjechał zaraz do Warszawy, gdzie dnia 6 stycznia 1468 złożył Kapitułę i ogłosiwszy swoją władzę nad nowozałożonemi klasztorami, to jest nad klasztorami: w Wilnie, Radomiu, Łowiczu i Warcie, powybierał ze starszymi Ojcami gwardyanów. Z temi nowemi klasztorami, zakon już liczył w Polsce 16 kościołów. Maryan z Jeziorka, obrany prowincyałem na drugiej Kapitule w Warszawie 1480 r., na której stanął kościół tykociński, myślał jeszcze o podziale prowincyi na kustodye i starał się o to w Asyżu, na Kapitule jeneralnej r. 1487, przez posłów, bo sam, będąc starcem, nie mógł przedsiębrać tak dalekiej podróży. Po powrocie posłów z Asyżu, zebrała się w klasztorze warszawskim trzecia Kapituła, której przewodniczył już następca Maryana z Jeziorka, — Ładysław z Gielniowa. Prowincyę, ogromne przestrzenie kraju obejmujące, rozdzielono tutaj na trzy kustodye, których stolicami zostały, według trzech wielkich obszarów Rzeczypospolitej: w Małopolsce — Kraków, w Wielkopolsce — Poznań, na Litwie — Wilno. Warszawa przegrała tutaj sprawę z Poznaniem, bo podług wszelkiej sprawiedliwości jej się należało pierwsze miejsce w kustodyi, ile, że założenie klasztoru warszawskiego o dwa lata uprzedziło klasztor poznański. Ale tym razem Warszawa dlatego pewnie przegrała sprawę, że była miastem mazowieckiem, a więc niejako czemś poniekąd obcem całej polskiej ojczyznie.

Niezmiernie piękne były początki zakonu bernardyńskiego w Polsce. Świętobliwi, bogobojni mężowie szeroko sławę pobożnego zgromadzenia roznieśli. Nie mówiąc już o samym ich założycielu u nas, Kapistranie, który świętym został, bo oprócz niego zakon na wielu znakomitych mężów mógł z dumą, jako na swoich członków, ukazać. Klasztor warszawski ma z tego również chlubę, bo ci ludzie piastowali z kolei w nim godności miejscowe, lub tutaj, z nad Wisły, zarządzali sprawami całego zgromadzenia. Do tych mężów należy Jakub z Głogowy, który przed wydzieleniem się trzech prowincyj, był ostatnim wszystkich trzech wikarym, i Rafał z Proszowic, który świętobliwością życia szeroko zasłynął. Podobny jemu świętobliwością był Ojciec Ludwik z Warki i Brat Ludwik z Koźla, których ciała w kościele warszawskim spoczywają. Dalej — Maryan z Jeziorka, Błogosławiony Michał Bal, a przedewszystkiem Ładysław z Gielniowa.

Żaden klasztor bernardyński w Polsce nie ma tylu wspomnień po Błogosławionym Ładysławie z Gielniowa, co warszawski. Najpierwsze dzieje tego kościoła już się związały z tem imieniem i nieustannie je powtarzają. Całe prawie życie Ładysława spłynęło w Warszawie, spraw jego apostolskich świadkiem był wciąż klasztor warszawski przez lat kilkanaście. Klasztoru warszawskiego Ładysław jest pierwszą i największą znakomitością. Wiemy, że ten syn mieszczanina z Ziemi Opo-

czyńskiej, Piotra, przybył do Warszawy młodzieńcem i tu w klasztorze Ś-ej Anny, przyjął suknię zakonną 1 sierpnia 1468 r. Tu przechodził po wszystkich stopniach zakonnych godności, aż stanął na pierwszym. Tu układał święte, łacińskie i polskie, pieśni, które następnie wierni i zakonnicy nucili po nabożeństwach i po kazaniach w kościele. Tu złożył prowincyalstwo, na Kapitule 1490 r., świeżo powróciwszy od jenerała zakonu z Urbino i władzę swoją przekazał Michałowi Balowi, który zmarł na zarazę r. 1495.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

Z Australii.

Przewrót polityczny, który w roku 1835 miał miejsce w Hiszpanii, stał się przyczyną, iż zachodni Australczycy, pogrążeni w największej ciemnocie, prędzej, niż się spodziewać było można, ujrzeli światło wiary i cywilizacyi.

Dwaj Benedyktyni z Compostelli, OO. Józef Serra i Rosendo Salvado, udali się do Rzymu, aby zapisać się między misyonarzy, a Stowarzyszenie Propagandy przeznaczyło ich do Australii. O. Brady, który w tym właśnie czasie przybył na konsekracyę swoją, zabrał obu zakonników, nadto 5 innych kapłanów, 11 kleryków i 6 Sióstr ze Zgromadzenia Matek Miłosierdzia.

Po sześciomiesięcznej podróży okręt ich zawinął do zatoki Fremantle, a we dwa dni potem pobożna drużyna udała się do Perth, gdzie została przyjęta z okrzykami radości. Cała ludność katolicka wyległa na powitanie swego nowokonsekrowanego biskupa.

Wypocząwszy po trudach podróży, obaj ojcowie niezwłocznie rozpoczęli swą działalność misyjną. Najpierw udali się do kolonisty Moor, rodem Irlandczyka. Droga, prowadząca do jego posiadłości, była piaszczysta, przejście uciążliwe; ale po kilkodniowej podróży stanęli na ozna-

czonem miejscu. Moor przyjął ich gościnnie; w jego domu wypoczęli po trudach i po raz ostatni odprawili pod dachem Przenajświętszą Ofiarę, którą już odtąd, przez długi czas, pod gołem niebem odprawiać musieli. Opuściwszy dom p. Moora, udali się do posiadłości kapitana Scully, o 68 mil od Perth położonej. Było to ostatnie europejskie cywilizowane mieszkanie, w którem spocząć mogli; dalej rozpoczynały się już stepy i lasy, przez dzikich tylko zamieszkane.

Podróż była uciążliwa. Szli niewytkniętą drogą, za wskazówką tylko igły magnetycznej, przebywając z największym trudem góry i lasy; nocowali pod gołem niebem, na ziemi lub na gałęziach drzew. Przechodzili najprzód kraj górzysty, ale okryty bujną roślinnością; potem piasczyste stepy, gdzie dokuczało im pragnienie; źródła bowiem, zasilane deszczami, wyschły były w tej porze roku. Nareszcie, ku wielkiemu ich zmartwieniu, ludzie najęci w Perth, do prowadzenia wozów napełnionych żywnością i pakunkami, oświadczyli, iż dalej nie pójdą, i nie troszcząc się o los misyonarzy, zostawili wozy z wołami pod drzewem, a sami powrócili do domu.

Misyonarze postanowili zbudować na tem miejscu tymczasowy szałas z gałęzi i zabrali się do roboty. Zajęci pracą, nie spostrzegli, iż gromada dzikich zbliżyła się do stawu, nad którym rozpoczęli budowę. Australczycy przypatrywali się nowoprzybyłym z uwagą, która mogła była wzbudzić podejrzenie. Misyonarze nie przerwali jednak swej pracy, a ukończywszy szałas, rozpalili ogień, odśpiewali psalmy, które zwykle przy końcu dnia śpiewano w ich klasztorze, odmówili wieczorne pacierze, i posiliwszy się nieco, spoczęli pod nowowzniesionym naprędce dachem.

Nazajutrz, równo ze świtem, Ojcowie odprawili Msze ś-te na intencyą dzikich, którzy stojąc spokojnie opodal, przypatrywali się z uwagą każdemu ich poruszeniu. Skoro słońce ukazało się na niebie, dzicy odeszli, ale nad wieczorem powrócili w znaczniejszej liczbie i stanęli o jakie 30 kroków od chatki. Misyonarze, nie zważając na nich, odmówili znów spokojnie wieczorne swe pacierze i spać się pokładli. Noc przeszła spokojnie, ale gdy rano po odprawieniu Mszy świętej zasiedli do śniadania, spostrzegli nagle zbliżającą się ku sobie gromadę dzikich z podniesionemi dzidami. Ojcowie wyszli na ich spotkanie z uśmiechniętą i łagodną twarzą, częstując jedzeniem i kawałkami cukru. Mężczyźni podnieśli lance, kobiety i dzieci uciekać zaczęły, wydając dzikie okrzyki. Misyonarze postąpili naprzód, dając znak, aby broń spuścili i jedli podany cukier. Dzicy po skosztowaniu rzucili go na ziemię; chcąc ich zachęcić, Ojcowie sami wzięli po kawałku i do ust włożyli, co widząc kilku z gromady, poszło za ich przykładem, i widać cukier smakować im musiał, bo zaczęli zachęcać innych do jedzenia. W kil-

ka minut wszystko spożyte zostało, a okruszyny australczycy wydzierali sobie zawzięcie.

Tak więc za łaską Bożą, pierwsze to spotkanie z dzikimi, szczęśliwie się zakończyło. Ojcowie nabrali otuchy. Australczycy, zwabieni otrzymanem od misyonarzy jedzeniem, coraz częściej przychodzili w stronę ich szałasu, i powoli oswoili się z nowoprzybyłymi. Ojcowie zaczęli teraz stawiać obszerniejszą nieco chatkę. Widząc to dzicy, zbliżali się ciekawie do zaczętej budowy, oglądali narzędzia, które misyonarze przywieźli z sobą, a wreszcie i pomagać w pracy zaczęli. W krótkim czasie najprzyjaźniejsze stosunki zawiązały się obopólnie. Spano i jedzono razem, a gdy zabrakło żywności, wybierano się wspólnie na polowanie, i wielka była radość, kiedy przyniesiono z wyprawy kangura albo opossuma, jedyne dwa rodzaje ssących zwierząt, których mięso jeść można. Gdy polowanie się nie udało, poprzestać trzeba było na korzonkach, jaszczurkach lub robakach.

Misyonarze próbowali porozumieć się z krajowcami, zapisywali każdy słyszany wyraz, aby powoli dochodzić znaczenia i wyuczyć się języka.

Życie na stepie, wśród dzikich, o głodzie, choć nie o chłodzie, było trudne, ale pogorszyło się jeszcze z nadejściem gorącej pory roku. Źródła wyschły, polowanie stało się zbyt uciążliwe, a głód, pragnienie i gorąco wycieńczało siły; przytem wszyscy czterej misyonarze zapadli na mocne zapalenie oczu, czyli tak zwaną *oftalmią*. Należało się ratować. O. Salvado postanowił udać się do Perth, aby przywieźć nowe zapasy żywności i potrzebne narzędzia do uprawy roli.

Nie było rzeczą łatwą zebrać potrzebnego funduszu w Perth, mieście protestanckiem i zresztą nie bardzo bogatem, ale będąc zawołanym pianistą, O. Salvado postanowił dać koncert. Mieszkańcy tłumnie pospieszyli, aby ujrzeć i usłyszeć misyonarza-artystę. O. Salvado ukazał się na estradzie w swym wytartym i podartym benedyktyńskim habicie, z ogorzałą i zarośniętą twarzą i zczerniałemi od pracy rękoma. Trzy godziny zachwycał grą swoją publiczność, a widok jego osoby tak wzruszył słuchaczów, iż jedna Irlandka, widząc jego obuwie w złym stanie, oddała mu zaraz własne trzewiki, a sama boso wróciła do domu. Dochód z koncertu dozwolił O. Salvado zaopatrzyć się obficie we wszystkie potrzeby; nabrawszy więc żywności, odzienia, narzędzi rolniczych i rozmaitego rodzaju nasion i krzewów, a do tego parę wołów i nieco owiec, puścił się z powrotem w drogę.

Jedynym śladem po pustyni była kolej wytknięta ich pierwszem przejściem; deszcze, które się były puściły, zatarły ją po części i z wielką tylko trudnością i niebezpieczeństwem życia przybył misyonarz do

swej osady. Tu zastał wielki smutek: śmierć zabrała im brata Gormana.

Miejscowość, w której się byli zatrzymali Ojcowie, nie sprzyjała uprawie roli, przeto postanowiono przenieść się w inną okolicę. Obrawszy żyźniejsze miejsce, zbudowali przy pomocy krajowców i świeżo przywiezionych narzędzi nową chatę i począwszy od marca 1846 roku zaczęli uprawiać poblizkie grunta. O. Serra prowadził woły, O. Salvado pług i tak do września zasiali dwa łany zboża, zasadzili 900 krzewów winogradu, 600 drzew owocowych i 3000 drzew oliwnych; przytem posiali wiele jarzyn.



Australia. Pierwsza Msza święta, odprawiona w Nowej Nursyi.

Pewna liczba krajowców tak się już była oswoiła z misyonarzami, iż ich prawie nie odstępowała, pomagała przy pracach w dzień, w nocy koczowała w pobliżu, ale potrzeba było ich żywić, a nietylko ich, ale często przychodzili inni zgłodniali i nędzni, jakże odmówić! Zapasy się prędko wyczerpały, trzeba było wraz z dzikimi chodzić na polowanie, szukać zwierza w dalekich okolicach, a tym sposobem opuszczać chatę i ogród uprawny, i prowadzić życie zupełnie koczownicze. Wkrót-

ce też ks. biskup przyszedł im z pomocą, przeznaczając znaczny fundusz na budowę gmachu klasztornego.

Dnia 1 marca 1847 roku położono kamień węgielny pod mający powstać klasztor i nazwano go Nową Nursyą, na pamiątkę Nursyi, włoskiego miasteczka, w którem się urodził Ś-ty Benedykt. Kościół stanąć miał pod wezwaniem Przenajświętszej Trójcy i Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Po siedmiu tygodniach pracy, w której brali udział rzemieślnicy sprowadzeni z Perth i krajowcy, podniosły się mury klasztoru. Wynosił on 40 stóp długości, 16 szerokości, a 14 wysokości.

Australczycy zachwycali się budynkiem klasztornym; był to wielki gmach wobec ich nędznych szałasów. Zbiegali się z dalekich stron na oglądanie takich dziwów; wiele rodzin założyło swe koczowiska obok klasztoru.

Ojcowie uzyskali od rządu jeszcze 30 akrów ornego gruntu i 1000 akrów pastwiska, które zostały im przyznane na własność; w miesiącu lipcu 1847 r. już 34 akrów pola zostało uprawionych i zasianych. Krajowcy, widząc rosnące zboże, coraz tłumniej gromadzili się koło misyonarzy i pomagali chętnie w pracach około roli i chowu bydła.

Misyonarze nabywali coraz większej znajomości języka krajowców i nie opuszczali sposobności, aby ich nauczać zasad i prawd chrześcijańskich. Rzecz to jest znana, jak oporem idzie nauka o rzeczach duchownych. Należało tworzyć w dzikich pojęcia o rzeczach oderwanych, należało je oznaczać stosownymi wyrazami.

„Aby się dowiedzieć czegoś o ich pojęciach religijnych, mówi O. Salwado w swoich pamiętnikach, trzeba było zdala krążyć. Jednego wieczora, zaprosiwszy kilku ze starszych do naszej wieczerzy, rzekłem do nich:

— Wiecie, iż ja, to jest ten którego przed sobą widzicie, nie jestem jeden, ale dwaj w jednym.

Słowa te wywołały śmiech ogólny.

— Śmiejcie się, jak chcecie, — mówiłem dalej, — ja jednak powtarzam wam raz jeszcze, że jestem dwaj w jednym. Pierwszym jest to ciało, które widzicie, drugi kryje się we mnie i tego nie widzicie. Pierwszy umrze i zakopią go w ziemię, drugi nie umiera, lecz odchodzi, gdy ciało żyć przestanie.

— Tak, tak, — odrzekli dzicy, — my także jesteśmy dwoiści, a mniejszy przebywa w naszych piersiach.

— Jakże go nazywacie?

— Kacen.

— A gdzież on idzie po śmierci?

— Ucieka do lasu! — rzekł jeden.

— Wskakuje do morza! — utrzymywał drugi.

Inni dodali więcej szczegółów. Według ich wyobrażeń, dusza wyszedłszy z ciała, zatrzymuje się na gałęziach drzew, które otaczają chatę nieboszczyka, i śpiewa smutno, jak ptak zraniony, aż ktoś z przechodzących wciągnie ją w siebie. Kiedy więc usłyszą, że dusza błąka się po drzewach, kilku mężczyzn zaczyna chodzić koło niej rzędem, zginając się w pół i uderzając dwoma kawałkami drzewa jednym o drugi, i wołają: pst! pst! pst! Czasem dusza pozostaje między drzewami i nie odpowiada na ich wołania; najczęściej jednak wchodzi do ust pierwszego z szeregu, następnie wychodzi a wchodzi w usta drugiego i tak idąc przez wszystkich, zatrzymuje się w ostatnim.“

W miesiącu sierpniu ks. biskup Brady zjechał do Nowej Nursyi i zadowolony był wzrostem osady, a szczególnie postępem w obyczajach dzikich, którzy rok przedtem jeszcze, będąc ludożercami, dziś oddawać się poczynali spokojnej pracy koło roli.

We wrześniu O. Salvado udał się do Perth po zakupno zboża i wziął z sobą małą sierotkę, imieniem Kuszynę, która nie mogąc znaleźć pożywienia, schroniła się do misyonarzy. Biskup oddał ją do klasztoru żeńskiego, gdzie zakonnice przygotowywały ją do chrztu świętego, który przyjęła w obecności wszystkich katolików zamieszkałych w Perth i znacznej liczby protestantów. Był to pierwszy owoc pracy naszych Benedyktynów w tej części świata.

Zbliżały się żniwa. Dzicy, nauczeni przez misyonarzy, doskonale władali sierpem i robota szła prędko. Wskutek dotkliwego gorąca spoczywano zawsze kilka godzin koło południa, a czas ten przeznaczono na naukę religii, której krajowcy, pobudzeni już nieco do wiary, chętnie słuchali. Jeden z nich o tyle się już był oświecił, iż zraniony śmiertelnie na polowaniu, zgodził się na przyjęcie chrztu świętego przed śmiercią.

Następujący wypadek obudził wielkie zajęcie dzikich. Żona jednego z krajowców, uciekając przed mężem, który w napadzie złości chciał ją przebić dzidą, schroniła się do klasztoru, a rozgniewany małżonek nie mógł jej dosięgnąć. Chcąc się zemścić, podpalił suche trawy w blizkości zboża, aby je ogień pochłonął. Spostrzegłszy dym, Ojcowie rzucili się do ratunku, wraz z wiernymi sobie Australczykami, ale nie zdołali ugasić płomieni. Nie wiedząc co począć, O. Salvado pobiegł do kaplicy i wyniósł statuę Matki Boskiej; w tej chwili wiatr się zwrócił w inną stronę i zboże uratowane zostało. Zdarzenie to przejęło dzikich uwielbieniem.

— Ta biała kobieta — mówili między sobą — jest bardzo potężna; my nie potrafilibyśmy dokonać coć podobnego.

Sprawca pożaru, nazwiskiem Mungana, dowiedziawszy się o odwróceniu pożaru, przeprosił Ojców i odtąd żył z nimi w zgodzie, a nawet pomagał im w pracy.

Liczba uprawiających pola wzrastała z dniem każdym, potrzeba było częstszych stosunków ze stolicą, dla ułatwienia różnych interesów; misyonarze postanowili wytknąć drogę do Perth. Praca ta w krótkim czasie dokonaną została i odtąd w przeciągu trzech dni dostać się można było do miasta.

Ważniejszem jednak dziełem na drodze postępu było założenie szkoły dla dzieci. Dnia 8 grudnia 1847 roku, trzech chłopców australskich, za zezwoleniem rodziców, zamieszkało w klasztorze i w niedługim czasie otrzymało chrzest święty. Aby dzień ten uroczyście uświęcić, rozdano obiad całej gromadzie dzikich, snującej się koło klasztoru, a ponieważ tego roku zbiory były bardzo obfite, postanowiono przez jakiś czas udzielać im pożywienia. Dzicy przybywali tłumnie na poczęsne, a misyonarze korzystali z tych zgromadzeń, aby im opowiadać zasady wiary. Niektórzy zobowiązali się zamieszkać w blizkości klasztoru i za otrzymywane jedzenie pomagać w robotach; tak więc koczownicze życie zamieniali na stałe.

Chcąc przyzwyczaić Australczyków do noszenia odzieży, której tylko w zimie używali, misyonarze postanowili, żeby każdy z przybywających po zupę lub do roboty, przychodził w swoim kangurowym płaszczu, który był ich jedynem ubraniem. Za powód tego wymagania podawali im Ojcowie konieczną potrzebę grzeczności i uszanowania.

Chcąc nadać większy rózwój Nowej Nursyi, biskup Brady postanowił zwołać tam pierwszy australski synod. Zjechał więc do klasztowraz z wikaryuszem swoim ks. Joostens'em dnia 13 stycznia 1848 roku i wspólnie z OO. Serra i Salvado rozpoczął obrady. Na dwóch posiedzeniach zajęto się głównie interesami dyecezyalnymi, trzy następne poświęcone zostały sprawom misyjnym.

Po rozpatrzeniu wielu spraw, uznano jednomyślnie, że reguła Świętego Benedykta zastosowana do pogan, najświetniejsze wydaje owoce, i że klasztor Nowa Nursya zasługuje na pomoc ze strony Kościoła. Postanowiono przytem, żeby Ojcowie zakupili więcej jeszcze gruntu i oddzielili swą osadę od posiadłości innych europejskich kolonistów, którzy, najczęściej wyrzutki społeczeństwa, źle oddziaływali na krajowców. Wskutek tej uchwały wysłany został O. Serra do Europy, aby zebrać potrzebną sumę na zakupienie gruntu i naradzić się z kongregacyą Propagandy co do postępowania z dzikimi w niektórych wyjątkowych razach. Tymczasem O. Salvado nabył 2500 akrów ornej ziemi i pastwisk, za które w kilku oznaczonych terminach miał zapłacić 32000 franków.

Będąc w posiadaniu tak znacznego obszaru ziemi, rozdzielił O. Salvado część pól między rodziny, które dopomagały do budowy klasztoru i uprawy roli. Był to najlepszy sposób wyrwania krajowców z koczowniczego życia i przyzwyczajenia ich do pracy; nowi właściciele wzięli się z zapałem do uprawy danych im gruntów, które też w niedługim czasie wykarczowane i obsiane zostały.



Australia. Nowa Nursya. Chrzest pierwszych Australczyków.

O. Salvado postanowił płacić im za robotę dokonywaną na placach klasztornych i zarazem dał im do zrozumienia, że za zarobione pieniądze mogą potem nabyć coś potrzebnego do gospodarstwa lub do pożywienia. Myśl ta podobała się Australczykom; prosili zarazem, by

im Ojciec przechowywał ich zarobek. Ks. Salvado urządził skrzynię z przegrodami i składał w nią, co sobota, cały tygodniowy zarobek każdego robotnika z osobna. Z dziecinną prawdziwie radością liczyli, kiedy to przyjdzie czas, że za grosz uzbierany kupić sobie będą mogli tłustego wieprza, pięknego koguta lub coś podobnego.

Krajowcy nie pokazywali się w mieście, nie wychodzili nigdy ze swych pustyń i lasów. O. Salvado nie pozwalał swoim chodzić samopas do miasta, ale sam ich prowadził, aby nad nimi czuwać i przyzwyczajać ich do obcowania poczciwego z Europejczykami; pierwszym skutkiem tego zetknięcia było obudzenie w krajowcach chęci używania odzieży na sposób europejski. Niektórzy zatem przywdziali koszule i spodnie, głowy okrywali szerokobrzeżnemi kapeluszami. Powoli zwyczaj ten rozpowszechniać się zaczął w całej osadzie. Kobiety, zazdrosnem spoglądając okiem na swych odzianych mężów, zapragnęły także nosić coś innego, jak skóry z kangura, które były niewygodne przy pracy. Sprowadzony z miasta perkal, misyonarze sami krajali, a kobiety i dziewczęta szyły z zapałem koszule. Krój i robota pozostawiały wprawdzie wiele do życzenia, ale zawsze był to jeden krok naprzód w cywilizacyi.

Długi czas dzicy nie mogli pojąć sposobu czytania. Dziwiło ich nadzwyczajnie, że Ojcowie dowiadywali się z listów lub gazet wiadomości, które oni skądinąd wiedzieli, i stąd dla każdego, czy pisanego czy drukowanego papieru okazywali cześć prawie religijną, zowiąc je mówiącemi papierami.

Benedyktyni, osiedli w Australii wschodniej, sądząc, że Ojcowie nasi mają zbyt ciężkie życie w Nowej Nursyi, wezwali ich do siebie. O. Salvado, jakkolwiek wdzięczny za ten objaw braterskiej miłości, odpowiedział, że za nic w świecie nie opuści rozpoczętego dzieła i swych dzikich. Aby więcej zespolić się z krajowcami, wystarał się dla siebie o obywatelstwo australskie. Wnet nadarzyła się sposobność korzystania z indygenatu. Jeden z Australczyków, osiadłych przy klasztorze, oskarżony został niesłusznie o kradzież; ks. Salvado stanął przed kratkami, jako adwokat, i dowiódł niewinności podsądnego. Czyn ten zjednał misyonarzom większe jeszcze poszanowanie między dzikimi; zrozumieli bowiem, że mają w nich opiekunów i obrońców, i tłumniej też poczęli się do nich garnąć.

O. Salvado wsławił się też jako lekarz pomiędzy krajowcami; używał on wprawdzie środków bardzo zwyczajnych, ale natury te, pełne żywotnej siły, z łatwością nimi uzdrawiać się dały. Najczęściej taki uleczony z choroby osiedlał się w pobliżu klasztoru i przyjmował chrzest święty; tak więc zdrowie duszy szło w ślad za zdrowiem ciała.

Energiczniejszych jednak środków używać trzeba było do uspakajania bójek, które często powstawały między krajowcami i przyprawia-

ły ich nieraz o rany i kalectwa. Osobiste wdanie się O. Salvado między zwaśnionych kładło zwyczajnie kres kłótni; gdy jednak słowne przedstawienia nie pomagały i bójka na dobre się rozpoczynała, wówczas misyonarz zabierał ich z sobą i zamykał w kozie.

Razu jednego O. Salvado, odmawiając nad wieczorem brewiarz, usłyszał wrzawę i odgłos razów. Pobiegł w stronę, skąd go hałas dochodził i ujrzał kilkanaście kobiet, bijących się zawzięcie tak zwanymi nana, to jest grubymi zaostrzonemi kijami, których używają zwykle do każdej roboty. Ponieważ bitka była już gorąca, trzeba było użyć odrazu tego drugiego środka, który, jak zwykle, powiódł się doskonale. Widząc jednak, że mężowie powaśnionych kobiet, siedzieli sobie spokojnie i przypatrywali się, śmiejąc się z ich bójki, rzekł do nich:

— Jak możecie pozwolić, ażeby żony wasze biły się w podobny sposób między sobą?

— Och! — odrzekli zagadnięci, — któżby mieszał się w kłótnie kobiece?...

— Wy, którzy jesteście ich mężami, powinniście je rozbroić w takim razie.

— My? — odrzekli. — Nam to jest zupełnie obojętne! Zamiast tej, będzie inna!..

— Mój Boże, pomyślałem, jakie to ludzie mają pojęcia o miłości małżeńskiej, jeśli w niej niema Jezusa!

Rok 1848 był bardzo urodzajny, paszy było poddostatkiem, stado owiec pomnożyło się znacznie. Po ukończonych żniwach każdy właściciel zniósł zbiory swoje do klasztoru. O. Salvado, zostawiwszy im tyle zboża, ile potrzebowali na wyżywienie przez rok cały, resztę posłał do Perth na sprzedaż. Pieniądze zostały rozdzielone i użyte później na zakupienie odzieży, bydła, narzędzi i innych potrzeb gospodarskich.

Po ukończeniu żniwa, wzięto się do strzyżenia owiec, których stado wynosiło już 1800 sztuk. Ponieważ pastwiska, w blizkości klasztoru położone, nie mogły ich już wyżywić, bo nowa trawa została skoszona, O. Salvado powierzył je głównemu swemu pomocnikowi w pracach gospodarskich, australczykowi Bigliagoro, który znając całą okolicę, wynalazł bujne łąki i tam stado zaprowadził.

Bigliagoro był żywym dowodem, w jak krótkim czasie zmienić można dziką naturę Australczyka, gdy się z nim postępuje według praw Bożych. Ten człowiek, gdy przyszedł do klasztoru, stał na najniższym stopniu cywilizacyi, bo sam opowiadał naiwnie, iż będąc młodym chłopcem, zajadał upieczone ciało swej rodzonej siostry, zabitej podczas głodu; teraz przyjął chrzest święty, nauczył się siać, orać, hodować bydło i pracował tak, jak każdy Europejczyk.

Te gospodarskie i misyonarskie zajęcia O. Salvado przerwane zostały listem ks. biskupa Brady, który mu zlecił udać się do Europy w celu zbierania składek na wystawienie kościoła, gdyż O. Serra mianowany został biskupem w Port Wiktorya. Powierzywszy opiece Pana Boga i braci zakonnej swą osadę, zabrał z sobą dwóch chłopców, Dirimera i Konaci, wychowanych w klasztorze i z końcem 1848 roku puścił się do Europy.

Niebawem otrzymał O. Salvado posłuchanie u Ojca Ś-go. Dirimera i Konaci towarzyszyli mu, ubrani w suknie świeckie, lecz na ręku każdy z nich miał przewieszony habit benedyktyński. Pius IX przyjął ich czule, zapewnił o swem ojcowskiem uczuciu dla nowopowstałego klasztoru i kolonii w Nowej Nursyi i na prośbę O. Salvado pobłogosławił i włożył własną ręką habity bendyktyńskie tym pierwocinom chrześcijan australskich. Chłopcy odwiezieni zostali do klasztoru de la Cava, gdzie zostali przyjęci jako uczniowie i kandydaci na Benedyktynów.

Nie spodziewał się O. Salvado, że na tem zakończy swoją misyę w Nowej Nursyi. W drodze już do Hiszpanii otrzymuje zawiadomienie od kardynała Fransoni, iż Ojciec Ś-ty przeznaczył go na biskupa w Port Wiktorya. Pomimo próśb i wymówek, konsekrowany na biskupa, udał się do swojej ojczyzny, chcąc się zobaczyć z biskupem Serra, który tam podówczas bawił.

W Kadyksie spotkał biskupa Serra, a zarazem otrzymał bardzo przykrą wiadomość, mianowicie, że klimat w Port-Wiktorya został uznany przez rząd angielski za niezdrowy, a cieśnina Torres za zbyt niebezpieczną dla okrętów, i że wskutek tych przyczyn kolonia skasowaną została. Biskup Salvado znalazł się w trudnem położeniu; nie mógł być pasterzem tam, gdzie nie było owieczek, a nie mógł także lekceważyć swej nominacyi; nadto minister hiszpański odmówił mu wolnej przeprawy na okręcie. Nie wiedząc, co począć, udał się dla rozstrzygnięcia sprawy do Rzymu.

Biskup Serra, zgromadziwszy 29 misyonarzy, odpłynął do Australii. Dnia 29 grudnia wylądowali szczęśliwie w Fremantle, gdzie uroczyście i z radością byli witani. Z początkiem stycznia udali się misyonarze do Nowej Nursyi. Krajowcy byli uszczęśliwieni, całowali ich ręce, a nawet szaty. O. Serra, a teraz biskup w Perth, zabrał się pilnie do pracy, ale zdrowie mu nie służyło; nadto z obowiązku urzędu swego musiał tak w stolicy biskupiej przebywać, jak również objeżdżać dyecezyę. Raz po raz tedy pisał do Rzymu, prosząc o pomoc, nareszcie w r. 1853 z polecenia kongregacyi, wysłany tam został biskup Salvado.

Przybycie jego do Nowej Nursyi uratowało los kolonii. O. Serra, powoływany często do Perth, nie mógł się dosyć pilnie zajmować za-

rządem misyi i rzadko nawet przebywał w klasztorze; pod umiejętną i sprężystą ręką O. Salvado wszystko wróciło do dawnego porządku.

Postawiono większą kaplicę i trzy nowe oficyny, aby w nich pomieścić wygodnie nowoprzybyłych zakonników i neofitów i założyć warsztat rękodzielniczy; otoczono całą kolonię parkanem, wytknięto i urządzono nowe drogi i wykarczowano jeszcze 50 akrów ziemi.

Na drodze duchownej niemniejszy dał się widzieć postęp. Coraz więcej neofitów przybywało na naukę do klasztoru; wiele australskich



Australia. Nowa Nursya. Opatrywanie rannych,

rodzin oddawało dzieci swe do szkoły misyonarskiej, której Konaci i Dirimera byli pierwszymi uczniami; wreszcie kilka małżeństw według katolickiego obrządku zostało zawartych między ochrzczonymi już krajowcami. Odtąd można się było spodziewać, iż powstawać zacznie całkiem chrześcijańska osada.

W listopadzie biskup Serra, który coraz bardziej zapadał na zdrowiu, powrócił do Europy, biskup Salvado zmuszony był objąć po nim to stanowisko, ale ponieważ zarząd misyi cierpiał na tem, prosił o uwol-

nienie. Po przyjeździe zastępcy z Rzymu, biskup Salvado oddał się cały pracy około wzrostu kolonii; wskutek czego Nowa Nursya w kilka lat przybrała pozór zupełnie europejskiej osady.

W środku wznosi się kościół murowany ze sklepieniem mahoniowem, obok klasztor, 120 stóp długi a 20 szeroki, z galeryą na pierwszem piętrze, otaczającą budynek. Z drugiej strony kościoła dwa domy obszerne służą za ochronki, jeden dla chłopców, drugi dla dziewcząt. Kilka porządnych chat z ogrodami zajmują rodziny osiadłe i już ochrzczone; w niejakiem oddaleniu na wzgórzu stoi kuźnia i warsztat stolarski, koło drogi szpital, gdzie przyjmują zarówno Europejczyków, jak krajowców, a nieco dalej dom zajezdny. Po za klasztorem znajduje się folwark gospodarski: gumna, stodoły, stajnie, szpichlerz i t. p. W gajach mahoniowych i eukaliptowych porobione są zasieki dla bydła i owiec.

Rozkład czasu jest dla każdej sprawy ściśle przeznaczony. Z brzaskiem dnia mieszkańcy Nowej Nursyi zaczynają się ruszać. Osadnicy, odmówiwszy pacierz ranny w kościele, biorą się do gospodarskich zajęć i pracy w polu, a księża po skończonem nabożeństwie idą im dopomagać. Dzieci tymczasem gromadzą się w szkole, gdzie je uczą czytać, pisać, rachować i historyi świętej; w wolnych zaś godzinach od nauki dziewczęta szyją, a chłopcy wprawiają się do niektórych rzemiosł. Aby nie odrywać dzieci od rodzinnego życia, wieczorem wszystkie wr a cają do domu.

Często bardzo krajowcy, w odleglejszych stronach zamieszkali, przychodzą przyglądać się temu nowemu dla nich życiu i najczęściej osiadają w blizkości klasztoru; rzadko się zdarza, ażeby który z miesz kańców porzucił na zawsze dobrowolnie osadę.

Wzrost Nowej Nursyi budził podziw nawet między innowiercami: sposób postępowania z dzikimi, używany przez misyonarzy, wydał się im być bardzo trafny; w wielu ówczesnych pismach anglikańskich, spotykamy artykuły podnoszące prace Benedyktynów. Ci panowie, piszący po dziennikach, nie dziwiliby się temu, gdyby znali więcej historyę. Rzecz to już stara, i dlatego się nie wie, że i dzikie bandy Germanów tym sposobem ucywilizowali Benedyktyni we Francyi i Niemczech, kilkanaście wieków temu.

Należało pomyśleć o założeniu biblioteki. Im więcej przybywało zakonników, tem więcej potrzeba było dzieł teologicznych i naukowych. Zakonnicy wprawdzie oddani byli głównie nauczaniu dzieci i rolnictwu, musieli jednak nieraz staczać walki z innowiercami, którzy chwalili ich sposób postępowania, ale napadali na wyznanie katolickie. By się uzbroić do tych duchowych utarczek i utrzymać godnie honor sztanda-

ru Kościoła, potrzeba było sprowadzić stosowne dzieła, co też niebawem zostało dokonanem.

Od r. 1857 zacny nasz biskup-misyonarz zajęty był wyłącznie zarządem klasztoru swego i osady. Myślał, że na tem stanowisku życia dokona, kiedy oto w r. 1865 odbiera prywatną wiadomość z Europy, że Ojciec Ś-ty chce go wynieść na biskupstwo w Perth. Jego rozum, rozległe teologiczne wiadomości i zasługi, czyniły go niezawodnie godnym tak wysokiego stanowiska, ale jako misyonarz dbał o los Nowej Nursyi, chciał osobiście przedstawić Ojcu Ś-mu potrzeby misyjne i wyprosić się od nowej godności. Zamiary jego uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Skoro przedstawił kardynałowi Barnabo, ówczesnemu prefektowi Propagandy, stan Nowej Nursyi i plany swe na przyszłość, Stolica Święta oddzieliła osadę benedyktyńską od dyecezyi Perth i wyniosła ją do godności prefektury apostolskiej, a zarazem mianowała przełożonego misyi opatem, i odtąd (od 12 marca 1867 r.) dwie te godności miały być zawsze piastowane przez przełożonego zgromadzenia w Nowej Nursyi.

Osada w Nowej Nursyi ciągłe robi postępy: corocznie przybywa pola ornego, inwentarza i narzędzi rolniczych; niedawno zaprowadzono nawet młocarnię parową. Główny dochód stanowi zboże i wełna; pieniądze obracają się na wyżywienie i utrzymanie 72 osób w klasztorze stawianie małych domków dla osadników miejscowych i urządzanie dróg. Australczyków też przybywa coraz więcej; dzieci, które były w początkach ochrzczone, dorosły już, wiele z nich pobrało się i stanowią rodziny chrześcijańskie. Zamieszczamy tu wyciąg korespondenta *Perth Gazette*, który zwiedzając osadę, trafił na ślub i wesele: „Byłem świadkiem, pisze on, obrzędu w osadzie benedyktyńskiej, któryby pewnie zajął tych wszystkich, którzy, jak ja, radziby podnieść ten nieszęśliwy szczep australski; był to obrząd ślubny dzikich. Panna młoda weszła do kościoła ubrana cała w bieli, co jeszcze więcej uwydatniało jej ciemną płeć i czarne włosy; pan młody ubrany był również bardzo przyzwoicie. Po ślubie około pięćdziesięciu Australczyków zasiadło do stołu obok młodej pary i należy przyznać, że ich zachowanie się podczas uczty nie ustępowało w niczem zebraniom europejskim. Po obiedzie zwiedziłem ich domek, wszędzie panowały nietylko porządek i schludność, ale nawet komfort. Powiedziałem zakonnikowi, który mi towarzyszył, że wielu kolonistów europejskich w Perth byłoby bardzo zadowolonych, gdyby mogli tak mieszkać, jak ci dzicy.“

Wreszcie na zakończenie naszego opowiadania o rozwoju tej osady, przytoczymy jedno zdarzenie, które z jednej strony świadczy o dobrem wychowaniu i wykształceniu Australczyków przez misyonarzy, z drugiej zaś zadaje kłam tym wszystkim teoryom panów Darwinistów,

które w ludności australskiej koniecznie dopatrywali od dawna i napróżno poszukiwanego przez siebie typu przejściowego między małpą a człowiekiem.

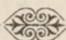
Czaszka australska o wystających szczękach i płaskiem czole, mozolnie szukana, przypadkiem znaleziona, zmierzona i zważona, miała tedy poprzeć słynną teoryą. Umieszczana w antropologiach, kosmosach i niekosmosach, między czaszką europejską a czaszką goryla, namacalnym miała być dowodem. Ale wszystko rozbiło się o nos, o nos małpi; małpy nie mają nosa, a raczej kości nosowej!

Na poparcie teoryi należało głosić i naturalnie głoszono, że szczep o takich czaszkach nie może posiadać władz umysłowych należycie rozwiniętych; że nie może pojmować, uczyć się i nauczyć. Otóż i na tym punkcie ci panowie zostali pobici. Benedyktyni wychowują dzikie dzieci australskie, kształcą je i koniec końców pokazuje się, że mają tyle pojęcia, jak i inne, a nietylko chłopcy, ale i dziewczęta. Na dowód przytaczamy tu depeszę gubernatora Perthu, do ministra kolonii w Londynie, datowaną z 20 stycznia 1876 roku:

„Ciekawą będzie zapewne dla Waszej Ekscelencyi rzeczą dowiedzieć się, że dyrektorką tutejszej poczty i telegrafu jest kobieta z rasy dzikiej, Ellen Cuper, która przez lat kilka wychowywała się w osadzie misyjnej rzymskiej biskupa Salvado; pełni ona swój urząd z zupełnem uznaniem naczelnika poczt. Nadto nie jest to jedyny przykład. Kilka miesięcy temu, potrzebowałem obsadzić opróżnioną posadę przy urzędzie telegraficznym w Wiktorya-Plains; biskup Salvado, dowiedziawszy się o tem, zawiadomił mnie, że mają w swojej osadzie dziewczynę bardzo rozwiniętą i przenikliwą, o której nie wątpi, że po kilku lekcyach będzie mogła sprostać temu obowiązkowi. Zezwoliłem na próbę. Podczas mojej bytności w Wiktorya-Plains zastałem ją już zajętą przy stoliku. Powróciwszy do domu, zatelegrafowałem do niej z umysłu, chwaląc jej pracę i postęp, na co otrzymałem od niej natychmiast odpowiedź telegraficzną, bardzo zręcznie ułożoną. Nazywa się ona Sarah Cann, może mieć około 22 lat, posyłam jej fotografię. Zostaję i t. d.”

Ten rozwój misyi katolickiej w tak dalekiej części świata, wśród ludów pozbawionych przez długie wieki światła prawdziwej wiary, jest wymownym dowodem, co może poświęcenie się i praca w imię krzyża.

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy"

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

Arcykapłan.

Przecz-że cię, córko, ta myśl tak porusza? —
— Słuchaj! przychodzę od Olympiusa.
On kocha ciebie; on dziś jeszcze z rana,
Kiedym rozumiał, żeś przezeń porwana,
On teraz jeszcze, gdy wie prawdę całą,
Sercem, wielkością, potęgą i chwałą,
Wszystkiem się z tobą chce dzielić wzajemnie,
I o twą rękę błaga cię przezemnie!

Felicyta.

On? o, mój Boże!

Arcykapłan.

Dość! dość! córko moja!
W twarzy twej, w oczach jest odpowiedź twoja.
Milcz, milcz! dość na tem...—O nic cię nie błagam,
Nic teraz nie chcę, nic się nie domagam.
Niebo ci samo da natchnienie wieszcze.
— Żegnam cię, córko, ujrzymy się jeszcze!
(odchodzi).

Felicyta (sama).

Odszedł! — O, Boże! gdzież jest moja siła? —
Twojaż to wola tę próbę mi zsyła? —
O! poskrom we mnie tę radość nikczemną,
Panie! jam grzeszna! — miej litość nade mną!
(rzuca się na kolana).

SCENA XX.

(Sala tronowa, ozdobiona i oświecona z największym przepychem, różnokolorowemi ogniami w alabastrowych lampach. W oddaleniu słychać dźwięki muzyki. Felicyta wchodzi prowadzona przez straże, które cofają się od progu, zostawując ją samą.)

Felicyta.

Gdzież to ja jestem? co to wszystko znaczy? —
Z więzienia, w nocy, pod strażą siepaczy,
Wiodą mię, widzę, przy blasku pochodni,
Stos, rusztowania, narzędzia mąk zbrodni;
Każą mi w cyrku słuchać, jak rozżarty
Lew ryczy z gniewu; patrzeć, jak lamparty,
Jak głodny tygrys, na widok człowieka,
Iskrzy oczyma, miota się i wścieka,
Jak kaledoński potwór kłami błyska.
(oglądając się w około.)
Toż koniec próby, czy urągowiska? —
Czy chcą, w obrazach kaźni i katuszy,
Bojaźnią śmierci doświadczyć mej duszy,
Lub ją omamić tych czarów urokiem?...
Serce upada pod myśli natłokiem.

Precz, precz te myśli! — Wy, święci Anieli,
Wy bądźcie przy mnie! a jeśli pokusa
Strwoży Dziewicę — z was niech mię ośmieli
Męztwo rycerki Jezusa Chrystusa!

SCENA XXI.

Felicyta, Olympiusz.

Felicyta (postrzegając wchodzącego Olympiusza.)

Ach!

Olympiusz (zbliżając się szybko.)

Felicyto!... o, przebacz mi!

Felicyta.

Panie!
Tyżeś-to? twojeż było rozkazanie
Przywieść mię tutaj, i wiodąc, przed okiem
Wskazać, com sędziów mniemała wyrokiem?

Olympiusz.

Tak, Felicyto! jam to chciał dla ciebie,
Tam los, co sama gotujesz dla siebie...
Tu patrz!—Lecz nie sądź, bym mniemał w mej duszy,
Że cię strach złamie, lub czczy powab wzruszy.
Nie! prawdę tylko oczom twym odkryto,
I prawdę we mnie obacz, Felicyto!
Jam cię był nie znał:—lecz przez wszystko w Niebie,
Dziś znam, czczę, wielbię — o, ja kocham ciebie!
Tyś rozjaśniła pomrok duszy mojej,
Tchnęła w nią świętość niewinności swojej;
Samym mym wstydem i żalem zgryzoty,
Tyś mię z miękkości zbudziła do cnoty;
Przez ciebie znowu jestem Rzymianinem.
O, skończ twe dzieło!...

Felicyta.

Bądź chrześcijaninem,
Olympiuszu! a Bóg przez mię skończy
Wszystko, co jeszcze z tym światem mię łączy.

Olympiusz.

Chcesz, bym wraz z tobą miał iść na katusze?

Felicyta.

Chcę, byś wraz ze mną mógł zbawić twą duszę.
Olympiuszu! nie tu czas nawzajem
Płonić się uczuć, co w duszy doznajem.
Ten, co najskrytszych jej myśli świadomy,
Co nas tu widzi, choć sam niewidomy,
Pan Wszechmogący na ziemi i Niebie,
Bóg, co przez ciebie dał mi poznać Siebie,
On mię powołał i wybrał wzajemnie,
Abyś Go poznał i uczcił przeze mnie!

Olympiusz.

Już go czczę w tobie! w tem twojem natchnieniu,
W tym blasku oka — czczę Bóstwo w stworzeniu.

Felicyta.

O, znam ja waszą cześć Boga w naturze,
W cudach sztuk waszych, w płótnie i marmurze;
Cześć pychy ludzkiej, której Bóg widomy:
W stworzeniu Człowiek, ludzkości Pan Romy!
Olympiuszu! o, w imię nie tego
Boga ja mówię. — W Imię Żyjącego,
Nie w dziełach Swoich, lecz w Sobie, udzielnie,
Przedwiecznie, wszędzie, zawsze, nieśmiertelnie:
Co nie z chaosu, lecz Sam z Swej Mądrości
Chciał i świat stworzył Słowem Wszechmocności,
Ogarnął Łaską, jak niebem gwiaździstem,
Przejął Miłością, jak słońcem ognistem,
I Sam, jak światło w oceanów fali,
Odbił się w duszach ludzi, — by poznali
Że jest — i wdzięczni, z dzieł i łask tak wiela
Poczuli miłość i cześć Stworzyciela.

Olympiusz.

Gdzie lud, gdzie człowiek, by go nie czcił w Niebie?

Felicyta.

Któż z ludzi Boga mógł pojąć przez siebie?
A cóż, że w hardej zaufawszy dumie,

Sam go chciał sobie tworzyć w swym rozumie?
Niósł dlań kadzidła, krew zwierząt poświęcał,
A obraz Jego, duch swój uzwierzęcał.
Aż w grzechach swoich jął Go czcić obrazach:
W kruszcach, bałwanach, bydlętach i płazach.
I chcąc, proch lichy, porównać się z Panem,
Pychą swą tylko zrównał się z szatanem!
Ale On, Ojciec! — On Moc Wszechmogąca,
On Miłosierdzie bez granic i końca,
On chciał i zbawił — co stworzył przed wiekiem.
Duch, Słowo Jego, Bóg stał się człowiekiem.
Zszedł na świat; Bóstwem tchnął na ludzkie plemię;
Skruszył moc piekieł; krwią odkupił ziemię;
Słowem objawił Prawdę: Boga w Niebie,
I Boga w Sobie; i życiem Swem, z Siebie,
Dał wzór i siłę, by wszyscy na ziemi,
Byli — nie Bogiem, lecz dziećmi Bożemi.
Olympiuszu! to jest ów Nieznany,
Zbawca, Duch-Człowiek — ów Ukrzyżowany,
Bóg z Boga, Jezus Chrystus! — W Imię Jego,
Uwierz! a poznasz Ojca Niebieskiego;
A Duch-Bóg z Boga, w Trójcy Nierozdzielny,
Zstąpi w twą duszę, jak dzień nieśmiertelny.
Przy Niezmierzonym Stwórcy swym i Panu?j
A tyś przed chwilą chciał powaby temi
Z drogi ku Niemu zwrócić mię do ziemi,
Chciał mię zatrwożyć obrazem katuszy!...
Olympiuszu, póki Bóg w mej duszy,
Świat mię nie zwalczy! Lecz, ach! ja się boję,
Olympiuszu! o zbawienie twoje,
O duszę twoją, o przyszłość jej w Niebie,
O sąd na siebie, o wieczność bez ciebie. —
O! ulituj się nade mną i sobą!
W imię Najwyższe, ja w prochu przed tobą...

(rzuca się na kolana.)

Tak, na kolanach wołam cię ku Niemu,
Ku Najlepszemu, ku Nieśmiertelnemu,
Co go sam pewno czujesz duszą własną,
Zgadujesz myślą, i zrozumiesz jasno,
Byleś tej jednej był zdolen ofiary:
Pychę rozumu zgiąć przed Słowem Wiary.

A i w tem nawet On sam ci pomoże,
Byleś zaufał i błagał w pokorze!

Olympiusz (podnosząc ją).

O, Felicyto!

Felicyta.

O, ty mój, mój luby!
Ty mój przed Bogiem! Masz wieczne me śluby,
Masz miłość moją, wyższą od niewieściej,
Masz wierność moją, doznaną w boleści;
Im wierz, nim Łaska oświeci twą duszę:
Im wierz, jeżeli zwę cię na katusze,
Muszę mieć pewność rękojmi bezpiecznej,
Że śmierć dla Boga da nam żywot wieczny!

Olympiusz.

Nie! Felicyto! nie! jest inna droga...
Możesz być moją, i czcić twego Boga,
I mnie nauczyć, abym z tobą społem
Mógł z przekonania uderzyć mu czołem.
Bóg twój, jak rzekłaś, nie czczych ofiar żąda;
Gardzi pozorem, kto duszę przegląda.
Czci serca twego On będzie świadomy —
Pozorem tylko rozbrój prawo Romy!

Felicyta.

Co! ja bałwanom nieść cześć?

Olympiusz.

Pozór marny!...
Szczyptę kadzidła rzuć w ogień ofiarny,

Felicyta.

Ha! i mą duszę rzucić w ogień piekła!
I chcesz, bym dla cię i Boga się zrzekła?
I by twej żądzy nasycić pragnienie,
Wiarę, Niewinność, Prawdę i Sumienie,
W prochu na wieki skalała nikczemnie?...
O, Rzymianinie! cóż ty kochasz we mnie? —
Mojaż to tylko złudzona powieka
Dojrzała w tobie wielkiego człowieka?

Że ci tak obce — nie duch chrześcijanki,
Lecz cześć dziewicy i świętość kochanki? —
Ty, co czcisz przecie swych niewiast odwagę,
Co śmierć przeniosły nad wstyd i zniewagę;
Ty, co się chełpisz z cnoty Regulusa!...
Co on dla Romy — jażbym dla Chrystusa,
Co on dla chwały — jażbym dla zbawienia,
Lękać się miała mąk i poświęcenia?...
Stało się! żegnaj! Tyś sędzia, jam branka!...
Sądź, jak syn Romy! ja, jak chrześcijanka
Zniosę sąd; o nic nie będę cię winić. —
Czyń, co rozumiesz, żeś powinien czynić.
Lecz, gdy próśb moich Pan wysłucha w Niebie,
Olympiuszu! krew ma zbawi ciebie...

(odchodzi.)

SCENA XXII.

Olympiusz potem Asper.

Olympiusz (sam.)

O, ja nikczemny! O, piekła męczarnie!
Czemuż Cię moja dusza nie ogarnie,
Chrześcijan Boże! bym uwierzył w Ciebie,
Bym śmiał z nią umrzeć, i ufał, że w Niebie
Żyć będziem wiecznie? — Lecz mogęż, niestety!
Mogęż dla skorych uniesień kobiety,
Dla rozognionej marzeń wyobraźni,
Iść — lub dopuścić, by szła na śmierć kaźni?...
Nie! nigdy, nigdy!

(Asper wchodzi.)

O, przybądź, Asperze!
Gdzie ona?

Asper.

Poszła, widziałem; — żołnierze
Wiedli ją nazad, w stronę gdzie więzienie.
Nie tyżeś kazał?

Olympiusz (z rozpaczą).

Nie ja! — Przeznaczenie! —

O, przyjacielu! przez pamięć najpierwszych
Uczuć z dzieciństwa, najczystszych, najszczerszych,
Jakie mię z tobą łączyły, Asperze!
Ratuj Ją! gwałtem porwij przy ofierze —
Nie, teraz, zaraz! — uprowadź w pustynie,
Ukryj w pieczarach! — uwięzionych gminie,
Jest, wiem, Vivia Perpetua, żona
Pomponiusza: — głos Centuryona
Znajdzie w żołnierzach współczucie i wsparcie.
Idź, niech ją zaraz, skrycie czy otwarcie
Porwie z więzienia, i razem z swą żoną
Uwiezie z miasta pod nocy zasłoną! —

(zdejmuje pierścień.)

Daj mu ten pierścień! — jeśliby go straże
Zatrzymać chciały, — ma znak, niech okaże!
Ty sam, Asperze, wybierz w sług mych gronie
Wiernka, najlżejszy mój rydwan i konie,
Dar Króla Partów, co w pustyni skwarnej,
Nie grzęznąc w piaskach, wyścigają sarny.
Sam czekaj z niemi przy Scylickiej bramie. —
Pomponiusza znam serce i ramię.
Gdzie je ma ukryć, mów, niech sam stanowi.
Resztę zostawmy losom i czasowi.

Asper.

Środek ostatni i dobry — lecz który
Zniweczy wszystkie, użyty bez pory. —
Vulpisk, wiem, przeczuł, że zechcesz ją zbawić.
Zjednał kapłanów, kazał im rozstawić
Czaty w krąg miasta, i motłoch zebrany
Mieć w pogotowiu na pierwszy znak dany.
Gdy się więc zamiar ucieczki wyjawi,
Gdy Ją lud wstrzyma: — cóż Ją wtenczas zbawi?
Co zbawi ciebie, — gdy potwarz Vulpiska
Wobec Cezarów moc prawdy pozyska? —
A takiż będzie kres cnót twych i laurów?

Olympiusz.

Władza — co chociaż ją dzierżę, daremnie
Chce zbawić przez nią droższą mi nade mnie;

A niechbym, czuję, upuścił ją z ręki,
Wnetby się stała narzędziem Jej męki,
I mnie samego zgięła pod miecz wroga —
Mnie, co z nią umrzeć nie chciałem dla Boga!

Asper.

Olympiuszu, posłuchaj co radzę!
Daj czas do jutra Jej własnej rozwadze;
A jeśli wszystkie omylą sposoby,
Cóż czynić? — dopuść do ostatniej próby.
Znasz sam naturę ludzką i niewieścią:
W myśli pogardza śmiercią i boleścią;
Opór przekorą zapał tylko wzmaga.
Lecz gdy przed oczy stanie prawda naga,
Śmierć w całej swojej ohydzie, i męka...
Sam instynkt życia w najśmielszym się lęka.
A jak w powietrzu, od ognisk płomieni,
Dżdżyste obłoki tworzą się w przestrzeni,
Tak w duszy niewiast, wybuchy zapału
W tkliwość i we łzy mienią się pomału,
Aż często serce, przez wrodzoną sprzeczność,
Z jednej się w drugą rzuca ostateczność.
Mnie zdaj, że ją sam powiodę do stosu!
Niech będzie świadkiem poprzedników losu.
Lecz choćby upór zatwardził Jej wolę,
Mnie wierz, że samej umrzeć nie dozwolę.
A zawsze jeszcze przed nami zostanie
Ostatni wtedy już środek — porwanie.
Co się i snadniej, jak wróżę, dokona,
I czyn nasz wieczna pokryje zasłona.
Z Pomponiuszem ułożym zamiary.
Wybraną strażą otoczym plac kary.
Lud nasycony widokiem katuszy,
Sam w końcu, ufam, litością się wzruszy,
I sam zapragnie zbawić niewiast życie.
Rozkażę przynieść Perpetui dziecię,
Piękność dziewicy, i płacz niemowlęcia,
I żałość matki — dzikszym od zwierzęcia
Zmiękczą — każdego, w kim jest ludzka dusza.
Reszty dokona czyn Pomponiusza,
Żołnierz nań żaden nie wzniesie oręża,
Lud uszanuje w nim ojca i męża.

A nim ty wrzekomo wyprawisz pogonie,
Już ich w pustynie uniosą twe konie.

Olympiusz.

O, przyjacielu! czemże ci zawdzięczę?
Tyś z chmur piorunnych, jak nadziei tęczę
Rozwił w mej duszy! — Przyjmuję twe rady.
Bóg Jej, czy Jowisz, niech wspiera układy! —
My idźmy, balsam krzepiącej otuchy
Wlać w duszę starca: co w rozpaczy głuchej,
Czeka tu blizko, i ach! pewnie liczy
Leniwe chwile, w nadziei zwodniczej,
Że Ją wnet ujrzy, i że przed nim stanę,
Wiodąc mu jego dziecię obłąkane,
Aby sam nasze błogosławił śluby. —
On, co w nieszczęsnej gorliwości szale,
Sam Ją, niestety, przywiódł nad brzeg zguby,
I ufa w Miłość — że ja Ją ocalę!

(odchodzą.)

SCENA XXIII.

(Więzienie.)

Satur w kajdanach, uśpiony w postaci klęczącej przed posłaniem ze słomy, z twarzą zwróconą ku górze, ramieniem tylko wsparty o kolumnę. Pudens, Perpetua, Deodatus, Artaksiusz i inni chrześcijanie wchodzą. Przez otwarte drzwi widać straże rzymskie, które ich przywiodły i pozostają zewnątrz przy wejściu.

Pudens (do chrześcijan.)

Wnijdźcie, możecie tu zostać aż do dnia.
Toż prawo Romy, które chce, by zbrodnia
Odniosła karę: skazanych zbrodniarzy,
Dniem przed ich śmiercią uracza i darzy,
By dzień ostatni, jak z życia puharu
Ostatnią kroplę słodyczy nektaru,
Kto co z was pragnie, jadła lub napoju,
Mówcie, a wszystko z obfitości zdroju,
W imieniu Romy, ja sam wam dostarczę.

(postrzegając uśpionego Satura.)

On śpi? — rzecz dziwna, że może!—Wstań, starcze!

(zbliża się, chcąc go obudzić, i zatrzymuje się nagle.)

Co za oblicze! co za pokój senny!
Co za pogoda, jakby blask promienny
Świeci mu z czoła z pod przymkniętych powiek!...

(cofając się.)

— Nie, to nie może być śmiertelny człowiek!

Perpetua (do chrześcijan.)

Bracia! Duch Pański jest nad nim! — ja czuję.
Cześć mu, cześć, bracia!

(chrześcijanie padają na kolana.)

Pudens.

Co za moc nieznana!
Skąd mi to drżenie? jak mię strach przejmuje!
Boże chrześcijan!

Perpetua (do Pudensa.)

Bracie, na kolana!

(Pudens rzuca się na kolana, nieco po za chrześcijanami, którzy klęcząc, półkolem otaczają Satura. Chwila milczenia.)

Satur (zawsze w uśpieniu, wznosi nagle ręce do góry.)

O, Jezu!

(budzi się i zrywa się z ziemi, z rękoma i oczyma wzniesionemi do góry.)

Cóż to? gdzież są? gdzie zniknęli?

(postrzegając chrześcijan.)

Co widzę? bracia! wyście tu koło mnie? —
Mówcie! niczeście tutaj nie widzieli?

Perpetua.

Czuliśmy wszyscy, że Pan był przytomnie.

Satur.

O, Niepojęty! o, Nieogarniony!
Mnież to, niegodne naczynie Twej Łaski,

Wznieść tak raczyłeś nad anielskie trony,
Bym chwały Twojej nieśmiertelne blaski
Widział, i o nich snać świadczył przed braćmi?
Bo już tu dla mnie nie walki i próby.
Cóż jest świat temu — czem strwoży lub zaćmi
Wzrok, co raz w wieczności spojrzał po za groby?

(postrzegając Pudensa.)

Kto jest ten z wami?

Pudens.

Jam jest stróż więzienia,
Ale poczułem moc waszego Boga.
Ucz mię weń wierzyć, bo z twego spojrzenia
Jak tęcza ku mnie błysła Niebios droga!

Satur.

Pan z tobą! — Bracia! uznajmy moc cudu.
Ledwie nas zbiera, jako plon dojrzały,
A już Opatrzny, w serca swego ludu
Sieje siew nowy zbawienia i chwały. —
Pan z tobą, synu! — Znasz Kaja Verusa?
Idź doń: on po mnie jest pasterz owczarni.
On cię nauczy być sługą Chrystusa,
W myślach i czynach, w szczęściu i męczarni,
Bo każdy różne ma zasługi pole.
Twoje ci, twoja wskazuje powinność.
Pocieszyć więźnia, osłodzić niewolę,
O, jest to wielka chrześcijańska czynność!
Nam dziś snać sprawiasz wieczerzę, mój synu!
Wiem zwyczaj Romy. — Lecz nam nic nie trzeba,
Wzbroń tylko wejścia pogańskiego gminu,
A przynieś wina i przaśnego chleba.

Pudens.

Idę natychmiast spełnić twe rozkazy.

(odchodzi.)

(D. c. n.)



Kompania z Chybic, dyecezyi sandomierskiej, u stóp Jasnej-Góry.
(Opis tej kompanii znajdzie czytelnik w tomie październikowym na str. 106 „Dzwonka Częstochowskiego“.)

Sławni dostojnicy Kościoła.

Najcenniejszym skarbem dla każdego monarchy jest mądry, zacnego serca doradca, którego zdolnościom i gorliwości śmiało zaufać można. Szczęśliwym w tej mierze był król Zygmunt I, Starym zwany. Otaczali go mężowie zalet niepospolitych, w naukach biegli, życie i świat znający doskonale, w postępowaniu przezorni, kraj szczerze miłujący, charakteru nieposzlakowanego. Z pomiędzy ich grona czcigodnego szczególnie się wyróżniają dwaj dostojnicy Kościoła, biskupi: Piotr Tomicki i Samuel Maciejowski. Rocznica śmierci obydwóch przypada w miesiącu bieżącym, to daje nam sposobność przypomnienia ich zasług, złożenia im tym sposobem hołdu wdzięczności.

Piotr Tomicki, szlachcic herbu Łodzia, urodził się w domu cnotliwym, onemu zaś dziełami swojemi i dostojeństwy więcej przydał zaszczytów, niżeli wziął był od przodków. Gniazdem Łodzia-Tomickich było województwo poznańskie. Wychwalają ich dziejopisowie, to zaznaczając, że zawsze dobro kraju przenosili nad swoje. Ojciec Kasper Niesiecki pisze o tej rodzinie:

„Od panów z Bnina i Górki początki swoje wzięli, ale podział dóbr, przez który się Tomice jednemu z nich dostały, Tomickich imię zaczął, jako świadczą listy i nagrobki ich. Są zaś te Tomice trzy mile od Poznania, bo są drugie — pod Pyzdrami i trzecie — w Księstwie Oświecimskiem. Najdawniejszego z tego domu odnalazłem Jana Tomickiego, męża dzielnego, który po sławnem pod Puckiem zwycięstwie nad Krzyżakami r. 1462, został świetnie nagrodzony przez Króla Kazimierza Jagiellończyka. Inny Tomicki, Mikołaj, chorąży poznański, ożeniony z siostrą Jędrzeja z Szamotuł, wojewody poznańskiego, Anną, zostawił dwie córki i synów trzech: Piotra, Mikołaja i Stanisława.“ Właśnie znako-

mity doradca króla Zygmunta Starego był najstarszym synem chorążego poznańskiego Mikołaja.

Ojciec odumarł Piotra w wieku chłopięcym, wyznaczywszy mu za opiekuna Jędrzeja Szamotulskiego, wojewodę poznańskiego. Ten widząc w Piotrze znakomitych cnót i i bystrego umysłu zadatki, niemal za syna go, własnych nie posiadając, przyjął. Zaczął Piotr od tych nauk, wiekowi swemu stosownych, które mu do wyższych torowały drogę. Wuj Szamotulski umieścił go naprzód w słynnych wówczas szkołach gnieźnieńskich, a następnie, posłując do Niemiec, zawiózł go do Lipska. Po czterech latach wrócił młodzieniec do Krakowa i tu badaniom filozofii się poświęcił z zamiłowaniem. Rychle też zasłynął z uczoności. W dysputach, to jest w sporach naukowych, tak celował, że tłumy niezliczone na owe dysputy się gromadziły i z zapałem oklaskiwały młodego uczonego, który zawsze wychodził zwycięsko. Piotra jednak nie zadawalał rozgłos i sukcesa krakowskie. Pragnął dostać się do Włoch, które wówczas były ogniskiem wiedzy i niejako gniazdem uczonych.

Szamotulski, mąż niepospolitego rozumu i przezorności rzadkiej, widząc z jednej strony, że siostrzanowi na urodzie, na głosie przyjemnym, tudzież na innych powabach zewnętrznych, które ludzi ujmują, nie zbywa; upatrując też w nim dowcip bystry, przeniknienie ostre, pojęcie łatwe, zdolność gładkiego wypisania się, zamiłowanie nauki i chęć zdobycia wybitnego stanowiska: a z drugiej strony obawiając się, aby młodzian tych zdolności i przymiotów nie stępił — Szamotulski tedy postarał się pragnienia siostrzana urzeczywistnić, ufał bowiem, iż młodzian, wyćwiczywszy się w wymowie i znajomości prawa, stać się może pożytecznym dla kraju. Jakoż wysłał go do Bononii, gdzie Piotr uczył się prawa u mistrza Filipa Berwalda, a wymowy u mistrza Antoniego Burgo. Pracując usilnie, w cztery lata został doktorem prawa. Z kolei udał się na dalsze nauki do Rzymu. W Mieście Wiecznem rok tylko zabawił, gdyż królewicz-kardynał Fryderyk, brat króla Zygmunta, dowiedziawszy się o jego zdolnościach, mianował go swoim kanclerzem, na miejsce Zygmunta Targowickiego, a nadto archidyakonią krakowską go obdarzył.

Wiadomo — pisze Józef Maksymilian Ossoliński — że królewicz Fryderyk był wesołego usposobienia, trzymał na dworze zgraję pasibrzuchów i wytrzęsikuflów, lecz żaden z tej hulaszczej gromady nie śmiał Tomickiego do swego cechu zaciągnąć. Owszem, jeśli przypadkiem młody kanclerz zdybywał ich na lusztyku, kryli puhary, przestrzegając się wzajem, że „Włoch nadchodzi.“ Po trzech latach królewicz-kardynał umarł. Chciano wtedy Tomickiego do grona radców króla Aleksandra pociągnąć, ale Tomicki odmówił i czas pewien pozostawał przy biskupie poznańskim, Janie Lubrańskim. Rychle po Aleksandrze

tron polski zajął brat jego Zygmunt. Ten powołał do boku swego Tomickiego, a Tomicki skwapliwie przyjął łaskę, czuł bowiem do Zygmunta szczególną skłonność. Młody uczony jeszcze był nie nagarnął duchownego chleba, a innych zapasów cale mu brakło; mimo to wspierany przez życzliwych, nadstawiając szczupły dochód dobrym rządem, gospodarczością i oszczędnością, utrzymywał się na dworze okazale w koniach i ludziach. Osobliwie słynął z dobrego smaku, z ochędóstwa, cieszył się przytem życzliwością ogólną. Możniejsi zasypywali go upominkami, król coraz więcej okazywał mu ufności, używał go do różnych poselstw i na początek kanonią kujawską obdarzył. Posłował tedy Tomicki do książąt pomorskich, do Wołoch, do Węgier, do Wrocławia, do książąt śląskich, znów do Węgier. Zasługiwał się dobrze, król go też wciąż podnosił. Otrzymał w krótkim czasie godność kustosza sandomierskiego, oraz kantora i kanonika gnieźnieńskiego. Gdy bawił, jako poseł, w Węgrzech, zawakowało biskupstwo przemyskie. Wielu się o tę stolicę ubiegało, król jednak przyznał ją Tomickiemu oświadczając:

— Milszym mi ten, za którym zasługi przemawiają, niż ci, co sami o sobie mówią, a nie czekając, żeby im dano, z rąk wydzierają.

Tomicki właśnie do kraju wracał, aż tu go w drodze spotkał Strzałkowski, dworzanin królewski i przywilej na biskupstwo mu doręczył.

Im więcej w dostojeństwa rósł Tomicki, tem się godniejszym odznaczeń okazywał. Uprzejmy i przystępny dla każdego, tak sobie wszystkich ujmował, iż zazdrośników nie miał. Hojność też jego i szczodrobliwość w miarę przybywania możności wzrastały. Dziwowano się nawet, skąd wystarczał na datki i dobroczyństwa. Król Zygmunt, wybierając się do Preszburga, gdzie miał się spotkać z bratem swoim, królem węgierskim, a następnie do Wiednia, gdzie na niego cesarz Maksymilian oczekiwał, zabrał z sobą Tomickiego, jako tłumacza. Tomicki bowiem, oprócz języka ojczystego, władał łacińskim, niemieckim i włoskim doskonale, przytem był nielada krasomówcą, odznaczał się roztropnością i biegłością w sprawach publicznych, powagą, uprzejmością i obyczajów skromnością. Te przymioty wyniosły go na dostojeństwo podkanclerzego.

Król Zygmunt coraz więcej się do niego przywiązywał, ufał mu bezgranicznie, przekonawszy się, że czy mu Tomicki kogo zalecił, czy co doradził — zawsze okazało się to dla kraju pożytecznem. Przekonał się, że Tomicki każde słowo swoje, każdy krok głęboko rozważał, a zawsze miał dobro ogólne na względzie. To też chociaż w sprawach Wielkiego Księstwa Litewskiego zwykle tylko senatorowie litewscy z królem radzili, król jednak, wróciwszy z Wiednia, Tomickiego i do rozpatrywania tych spraw powoływał.

Niebawem otrzymuje Tomicki probostwo krakowskie Ś-go Michała, a po śmierci Lubrańskiego biskupstwo poznańskie. Lubrański sam go wybrał swoim następcą. Niemniej sprzyjał Tomickiemu biskup krakowski, Jan Konarski. Sędziwy ten dostojnik Kościoła, lat wieku 82 liczący, a od lat 20 kaleka na nogi, oświadczył królowi, iż chętnie ustąpi Tomickiemu biskupstwo, zostawując sobie do śmierci połowę dochodów. Zgodził się król chętnie, uważając, że Tomicki, będąc biskupem poznańskim, musiał często dwór opuszczać, aby obowiązków pasterskich dopełnić; tymczasem, jako biskup krakowski, będzie zawsze pod ręką króla, na każde zawołanie. Przeto posłał król do Rzymu Stanisława Borka, który wyjednał u Stolicy Apostolskiej, iżby się według chęci Konarskiego stało. Jakoż objął Tomicki biskupstwo krakowskie 3 kwietnia 1524 r., a Konarski rok żył jeszcze.

Po śmierci Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa korony polskiej, namawiał król Zygmunt Tomickiego, żeby prymasowstwo przyjął. Wziął to na rozmysł Tomicki, ale zaraz nazajutrz podziękował królowi za ofiarowaną godność, natomiast Macieja Drzewieckiego, biskupa kujawskiego zalecił. Zdumienie ogarnęło wszystkich, bo przecież prymasowstwo było najwyższem dostojeństwem w królestwie. Lecz Tomicki przez całe życie jawnie okazywał, że nie za czczym blaskiem godności się ubiega, ani pożytków własnych szuka, jeno możności skutecznej pracy dla dobra ogólnego.

I tak zaiste było. Mąż ten, kiedy szło o prawdę i sprawiedliwość, nie zważał na żadne niebezpieczeństwa. Nikomu nie pochlebiał, działał według sumienia, przy prawach Rzeczypospolitej stał murem, nie miał względów na przyjaźń, niczem nie dał się ująć, o słuszność gotów był zetrzeć się z najpotężniejszymi, niczyja powaga go nie krępowała, jeśli zbaczała z drogi sprawiedliwości. Możni nieraz się na niego dąsali, że z nimi za jedno nie trzymał; niektórzy wręcz mu wypowiadali przyjaźń, grozili prześladowaniem. On mało ważył groźby, żadne zamachy go nie zmieszały, nigdy sposobu postępowania nie zmieniał. Ta stanowczość żelazna, poczciwość, sama sobie ufająca, jednały mu szacunek powszechny. W senacie taką miał powagę, że zawsze się na jego zdanie godzono. Jeśli (co często się zdarzało) w senacie się z powodu choroby nie zjawiał, posyłał głos swój przez zaufanego. Gdy bawił po za Krakowem, a rada koronna rozważała jaką ważną sprawę, zawsze przysyłano do niego, bodajby najdalej, o zdanie. Król sam pisywał listy prosząc, aby mu myśl swoją w danej sprawie przedstawił.

Tak tedy ani na osobności, ani wśród puszcz leśnych, dokąd go lekarze dla poratowania nadwątlonego zdrowia wysyłali, nie był wolny od spraw krajowych nacisku. Sprawdzała się też na nim przypowieść, iż w czem kto najwięcej mocen, od tego ginie. Zawalony pracą nad-

mierną, mozolną, siły ludzkie przechodzącą, tracił zdrowie, coraz częściej chorzał. Lekarze zalecali mu koniecznie wytchnienie, lecz Tomicki próżnować nie umiał. Umysł jego musiał być ustawicznie zajęty, pióra i księgi niemal dniem i nocą z rąk nie wypuszczał.

Dokładał przytem starunku, żeby wszystko, co od niego wychodzi, było doskonałe nietylko w treści, ale także w formie, a nawet iżby kształtnie było przepisane. W tym celu trzymał przy sobie ludzi w językach biegłych, uczonych, pięknie piszących. Najwięcej jednak sam pracował, a pracę każdego pomocnika musiał osobiście przejrzeć i poprawić. Pod żadnym z jego poprzedników kancelarya koronna równie nie kwitła, wydoskonalona zaś przez niego, wiele do chwały Zygmunta I się przyczyniła i sprawiła u potomnych wysokie o oświeceniu narodowem rozumienie. Słysząc go bądź przemawiającego w radzie, bądź odpowiadającego imieniem króla, niewiadomo, co należało chwalić: czy gruntowność zdania, czy wymowę, czy głos, czy powagę i uprzejmość. Stosowano też do niego słowa Pisma Świętego: „Rozlał się wdzięk na usta jego“. Nie sypał mnóstwem słów, ale jaśnie, dokładnie, zwięźle myśli swoje tłumaczył.

Posłów cudzoziemskich przyjmował wspaniale, żadnego bez kosztownych upominków nie odprawił. Cenił i wynagradzał każdą zasługę. Rycerstwu wiele i sam świadczył, i u króla wyjednywał. Wyjednał też u Stolicy Apostolskiej, iż ustąpiła świętopietrza na budowę i umocnienie zamków pogranicznych.

Przed ubogim dłoni nie ściskał. Jednej zimy, szczególnie ostrej, przeznaczył ze szkatuły własnej na same kożuchy dla żebraków 300 dukatów. Pamiętając o zaleceniu Chrystusa: „dozwólcie maluczkim przyjść do mnie“ — miał starunek o dziatwie. Gdy odwiedzał włości swoje biskupie, zawsze dziatwę wiejską gromadził i obdarzał. To też chłopięta i dzieweczki, skoro tylko jego karoce spostrzegli wnet ją z radosnemi krzykami otaczali.

Z uczonymi, rodakami i cudzoziemcami, bądź piśmiennie się porozumiewał, bądź osobiście obcował. Do listu zawsze dołączał upominek. Kształcił we Włoszech 4 lub 5 młodych rodaków, czemu dziwili się Włosi mówiąc, iż podobnego przykładu inni biskupi ani nawet książęta udzielni nie dawali. W Krakowie trojakiego rodzaju młodzieżą się opiekował: chude pacholęta chodziły do szkoły na zamek; znaczniejszych obywateli synowie razem z jego synowcami, zostawali na jego stole i na jego domowem ćwiczeniu, gdyż sam wybierał dla nich nauczycieli; przy nich też synowie drobnej szlachty z nauk korzystali. Tym kształtem przysposobił na usługi kraju młodych: Szamotulskich, Czarnkowskich, Pampowskich, Tarnowskich, Opalińskich, Kościeleckich, Jazłowieckich, Ruseckich, Chlewickich.

Usiłował Tomicki tą drogą wytworzyć uzdolnione na potrzeby kraju pokolenie, a przeznaczając dochody biskupie na użytek publiczny, stan świecki z duchownym chciał silną złączyć spójnią. Za jego czasów nie było w kraju opuszczonej sieroty, bo osierocona dziatwa ojca w nim znachodziła. Synowcom swoim zostawił skarb nad bogatą spuściznę cenniejszy, bo życzliwość ludzką, od pierwszych lat gromadzoną. Nie przykupił do ojcowskiej ich fortuny ani jednej włości, z czego tłumaczył się:

— Dobra kościelnego jestem szafarzem, ale nie właścicielem. Pamiętajcie, że kto się chce groszem duchownym utuczyć, zawdy się dławi.

W Luborzycy, Bolechowicach, Siedlcu, Dobrowodzie, Kunowie, Wawrzeńczycach i Piotrkowie, gdzie dotąd żadnego mieszkania biskupi krakowscy nie mieli, drewniane pałace pobudował. W Bożeńcinie wielką część zamku, a w Siewierzu cały zamek z kamienia wywiódł. W Krakowie tył pałacu biskupiego wymurował, inne części odnowił. W katedrze krakowskiej ufundował sobie kaplicę grobową, opatrzywszy ją funduszem dla księdza 25 grzywien. Kapłan ten musiał być nauczycielem w Akademii krakowskiej. W r. 1526 wyprawę przeciwko Turkom i Tatarom wspomógł zaciągiem chorągwi stokonnej i wysłaniem ze wszystkich dóbr swoich co dziesiątego poddanego. W dziedzicznych Tomicach kościół wystawił i uposażył. Kościół Ś-go Michała na zamku krakowskim malowaniem, zegarem, zakrystyą nową ozdobił i dachówką przykrył. Włości biskupie powiększył. Wiele kościołów wspomógł, bądź obdarzając je sprzętem potrzebnym, bądź w inny sposób.

Zdolność i zasługa były dla niego jedyną drogą do osiągnięcia dostojeństw kościelnych. Najchętniej obdarzał nie proszących, nawet upodobanie znajdował w obdarzeniu najmniej spodziewających się. Natrętami, pochlebcami czapkującymi dla zysku, łakomcami nienasyconą wyciągającymi rękę — brzydził się, gardził nimi. Dbał mocno o kaznodziejów. Na te stanowiska przeznaczał ludzi cnotliwych, biegłych Pisma Ś-go tłumaczów.

Taki dla kraju i Kościoła zaszczyt — pisze Hozyusz, również znakomity dostojnik duchowny — padł ofiarą gorliwości swojej i niezmordowanej pracy. Zachorzał mocno w maju 1534. Chorobę uśmierzono, ale niezupełnie. Tomicki, pogrzebawszy w Krakowie siostrę swoją, Magdalenę Wrzesińską, udał się na czas jakiś do Kielc, a potem do Bożeńcina. Tam puchnąć zaczął, lecz ukrywał to przed otoczeniem. Gdy król w roku następnym wyprawiał w Krakowie wesele córki swojej Jadwigi z elektorem brandeburskim, Tomicki na gody podążył. W drodze choroba się pogorszyła, mimo to przemógł się i króla przyjmował, w otoczeniu kapituły, u drzwi katedry. To było ostatnie ich widzenie

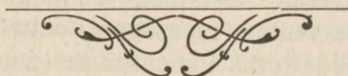
się. Legł potem na łoże i już nie powstał z niego. Kres życia szybko się przybliżał. Dnia 25 października Tomicki potwierdził testament, przed pół rokiem napisany, pieczęć kanclerską włożył w torbeczkę ze złotogłowia, owinął tę torbeczkę innym workiem, worek papierem, wezwał obecnych, aby na papierze swoje pieczęcie przyłożyli i pakunek ten do skarbca kościelnego odesłał. Nazajutrz kazał sobie czytać ustępy z pism Ś-go Hieronima, przytem Ostatnie Namaszczenie przyjął, potem darował dłużnikom swoim wszystkie należności, do tysiąca dukatów wynoszące. Dnia 27 żegnał się z dworzany swoimi, każdego błogosławił. Dnia 28 pożegnał się z synowcami, a dnia następnego odszedł do Boga, słuchając Ewangelii Ś-go Łukasza, czytanej przez Stanisława Borka. Właśnie gdy Borek czytał słowa z pasyi: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję mego ducha!" — Tomicki ostatnie wydawał tchnienie... Pochowano znakomitego męża w katedrze krakowskiej, w kaplicy, którą sam sobie ufundował.

Godzi się tu streścić testament Tomickiego, uzupełni to portret wyżej skreślony. Testamentem rzeczonym, potwierdzonym przez: Samuela Maciejowskiego, podówczas kanonika gnieźnieńskiego, krakowskiego i sandomierskiego; Stanisława Hozyusza, podówczas proboszcza wileńskiego i kanonika wiślickiego, — przeznacza Tomicki ruchomości swoje i różne sprzęty kościelne dla kościołów katedralnych w Krakowie, Poznaniu; oraz dla kościołów w Sandomierzu, Wiślicy i Tomicach. Odkazuje dworzanom swoim: Stanisławowi Górskiemu 100 czerwonych złotych, sukna włoskiego brunatnego 10 łokci i szłapaka; Filipowi Padniewskiemu, notaryuszowi apostolskiemu, 50 dukatów; marszałkowi Boguszowi 100 dukatów, szubę lisią, 4 konie z wozem. Królowi, królowej, królewnom Jadwidzę i Izabeli, Janowi Chożeńskiemu, Janowi Tarnowskiemu wojewodzie ruskiemu, bratu wojewodzie inowrocławskiemu, Zofii synowicy — pierścienie drogie. Prymasowi Dzierzgowskiemu księgę pargaminową. Biskupowi płockiemu dwie księgi, pisane ręką Piotra z Proszowic, w pięknej oprawie włoskiej. Biskupowi przemyskiemu pontyfikał i czamarę karmazynową kamlotową. Samuelowi Maciejowskiemu 4 konie i sztukę tebinu na suknię. Różnym kanonikom krakowskim suknie. Kolegium teologicznemu księgi teologiczne. Kanonikom księgi prawne. Synowcom księgi polityczne. Na pogrzeb 200 do 400 grzywien. Na jałmużny i nabożeństwa po 10 grzywien każdemu krakowskiemu klasztorowi i szpitalowi. Reszta ruchomości miała być sprzedana na posag dla synowicy, a gdyby ta umarła wcześniej, zapis przechodzi na jej braci.

Dołączymy jeszcze zdania o Tomickim słynnych pisarzy. Więc u Krzyckiego czytamy: „Takiej wziętości u króla, narodu i obcych

używał, że po królu pierwszy był na czele wszystkiego. Słynął dzielną w czterech językach wymową. Był wzrostu okazałego, dowcipu, rozsądku, umysłu na podziw wysokiego. W ochędóstwie i sprzętach wspaniały, na ubogich szczodry, ku wszystkim hojny. W odbywaniu obrządków kościelnych i dworskich nieporównany." Starowolski pisze: „Z jego ćwiczenia wyszli: Jędrzej Krzycki, arcybiskup gnieźnieński, siostrzan jego; Hozyusz, kardynał i biskup warmijski; Filip Padniewski i Piotr Myszkowski biskupi krakowscy; Dantyszek, biskup warmijski i inni. Póki on z Szydłowieckim urząd kancelarski sprawowali, działo się w Polsce arcydobrze, bo starali się o to, aby do senatu ludzi godnych i spokojnych przybierano; nie dopuszczali, by prywatami mieszano Rzeczpospolitę; przestrzegali, aby każdy stan nic więcej nad miarę i słuszność sobie nie dozwalał."

(D. n.)





Kompania z parafii Lisków, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry.
(Opis tej kompanii znajdzie czytelnik w tomie październikowym na str. 111 „Dzwonka Częstochowskiego“.)

W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XV.

Gdy w ową pamiętną noc Grześ Brzuchański i Piotr Zapała popędzili ku płonącej ruchomej wieży oblężniczej, z której wierzchołka mieli Szwedzi przerzucić nazajutrz pomost na mury twierdzy, niktby nie pomyślał, że ci dwaj ludzie, nie należą do sławnej armii króla Karola Gustawa.

Wycieczka oblężonych nadzwyczaj zręcznie była obmyślona. Gdy garstka odważnych i gotowych na śmierć rycerzy rzuciła się na senne warty i ludzi zajętych różnemi przygotowawczemi czynnościami do rychłego szturmu, strzelając do nich i siekąc szablami, inni, umiejętnie do tego przygotowani, rzucili materye łatwo zapalne i bomby ogniste do wnętrza wieży i zapalili ją.

Cel wycieczki klasztornej, jak się zdawało, został osiągnięty: pożar szybko ogarniał złowrogą dla klasztoru wieżę i tarany, budowane od miesiąca z wielkim wysiłkiem i nader umiejętnie przez najpierwszych zamorskich inżynierów.

Tymczasem żołdactwo szwedzkie zlatywało się ze wszystkich stron z krzykiem i przekleństwami, aby bronić tak ważnej placówki. Walka zawrzała z nową grozą.

Pan Jan Skórzewski, dowódca bastyonu zachodniego, który w tę noc dowodził wycieczką, wołał, obejmując wzrokiem płonące belki wieży:

— Jeno jeszcze moment!... jeno jedno „Zdrowaś!"... Niech dobrze się przepalą fundamenta!... Bij!... bij Szweda, kto kochasz Maryę!...

Jakoż do odwrotu nikt się nie miał z rycerzy klasztornych, choć nieprzyjaciół co chwila przybywało, jakoby szarańczy...

Rycerze jasnogórscy ujrzeli się wkrótce zagrożeni, należało co spiesznej cofać się ku fosom klasztornym.

Ale pan Skórzewski wołał:

— Jeno momencik, mości panowie!... Dla chwały tego miejsca świętego jeno momencik!...

A patrzył, mówiąc to, na płonącą już jako świeca wieżę, niby w oblicze ukochane. Mniej mu chodziło o własne życie, niż o to, aby tej wieży wróg od ognia nie mógł ocalić, aby przęsła jej i spoidła przeżarł pożar, aby przestała być groźną klasztorowi.

A tymczasem sam Müller śpieszył w tę stronę.

Wieża ta kosztowała wiele zachodu, nazajutrz miano z niej rzucać pociski ogniste i sztuczne pomosty, po których żołdactwo szwedzkie łatwo mogło wtargnąć na mury i do wnętrza twierdzy.

— Na miłość Boską, cofajmy się! — krzyknął, przyskoczywszy do pana Skórzewskiego młody pan Lachnicki z Małus — chmura wrogów nas otacza... istne pioruny w nas ciska!...

Mówiąc to, napróżno usiłował zatamować spływającą mu ciurkiem z lewego policzka krew, gdzie czerwieniła się rana szeroka od postrzału pistoletowego.

— Jeno ta belka przepali się, wracamy da swoich! — odrzekł nieustraszony pan Skórzewski, nie zważając na przelatujące mu tuż koło głowy kule.

— Nużby się wieża ostała, nużby nasza krew za nic była przelana! — wołał, dodając garstce swoich odwagi. — Raczej zginąć, niż wracać z niczem!... Niechaj pierw spłonie to narzędzie piekielne!...

Wtem umilkł, bo oddział wyborowej piechoty nieprzyjacielskiej nadchodził szerokiem półkolem na miejsce walki, dając rzęsiście ognia do garści skupiających się do odwrotu obrońców Jasnej-Góry.

Jakiś rycerz szwedzki, w świetnej zbroi, na ognistym rumaku, wypadł z ciemności nocnych i mając za sobą kilku towarzyszy, z furyą uderzył na imci pana Skórzewskiego.

Ten celnym strzałem ubił mu konia, ale rycerz porwał się z ziemi i nawzajem wypalił prosto w pierś starego szlachcica.

Zachwiał się pan Skórzewski, ale nie upadł, widocznie Bóg na teraz ustrzegł go od niechybnej śmierci: strzał chybił.

— Do mnie! — wołał ustępując — panowie bracia, do mnie!... A gdy już uszedł staj kilka, krzyknął: A teraz plackiem na ziemię...

Gromadka wojaków, zebrana dokoła niego, rzuciła się na zaśnieżone podnóże wałów klasztornych, a w tejże chwili z murów twierdzy

dano ognia do ciemnej masy piechoty szwedzkiej, która nieostrożnie zapędziła się tuż — tuż pod klasztor.

Szwedzi cofnęli się, ścieląc ziemię gęsto rannymi i zabitymi, a tymczasem wycieczka klasztorna powstała z ziemi, dopadła fosy i z niej tajemną bramą dostała się na dziedziniec klasztorny.

Powitano ją tam, jako się wita te drogie sercu osoby, które się miało za niechybnie zgubione, a one cudem wracają; kolejno przyciskał ksiądz przeor do piersi tych dzielnych rycerzy i błogosławił.

Ale lica pana Skórzewskiego spochmurniały. Patrzył on w stronę obozu szwedzkiego, skąd cudem dopiero co wrócił i rozpacz go obejmowała.

Oto płonąca jasno jako pochodnia olbrzymia wieża oblężnicza nagle pociemniała, łuna pożaru przygasła.

— Ugasili ogień! — mruknął stary szlachcic — na nic nasza wycieczka... Nie runęła ta potworna budowla... Kto wie, czy jutro nie zrobią Szwedzi przy jej pomocy wyłomu w naszych murach?... A tak byłem pewny, że runie... że ogień ją strawi...

I chciał biedz z powrotem ten wojak nieustraszony, chciał z nowem narażeniem życia zniszczyć złowrogą wieżycę.

Ale powstrzymano go.

— Toć tam teraz istne mrowisko żołdactwa wszelkiej broni — mówił ksiądz przeor — po próżnicy oddalibyście tyle drogie dla kraju życie. — pójdźcie, mości panie, otrzyjcie krwawy pot z czoła, odpocznijcie w mojej celi... Głowa wasza i prawica wielce nam są drogie...

Ale imci pan Skórzewski serdecznie za te słowa umiłowanemu przez się przeorowi dziękował, prosząc jak o największą łaskę, aby mu na murach pozostać dozwolił.

— Ostanę tu — mówił — ciekaw jestem, czy pożar tej złowrogiej dla nas wieżycy Szwedzi ugaszą, czy też Bóg sprawi, że runie ona, jakom się tego spodziewał.

I oparł się o mur, na którym spoczywało działo, i ciężko dysząc ze zmęczenia, uparcie patrzył w dal, gdzie czerwonawemi liniami odbijała się na tle ciemnej nocy, owa groźna dla oblężonych, ruchoma wieża — taran.

Ale napróżno wytężał słuch, czy nie usłyszy trzasku rozpadających się potężnych belek, napróżno, modląc się w duchu, czekał, gdyż pożar przygasał z każdą chwilą, a serce dzielnego starca ogarniał żal i rozpacz, że krwawa jego praca nie przyniosła pożytku.

I stał tak długo, nie bacząc na zimno dotkliwe i znużenie, uparczywie zapatrzony w owo niby zaczarowane dla swych myśli miejsce.

Wtem drgnął. Sen-li to, czy jawa?... Toć słup iskier i płomieni buchnął ku chmurnemu niebu.

— Wieża wyleciała w powietrze! — zawołał wartownik stojący w pobliżu.

— Widziałżeś!? — zawołał pan Skórzewski.

— Jako waszą miłość widzę!

— I jam widział — wołał rozjaśniony uczuciem niezmiernej radości starzec — wyleciała!... Jeno, o, Boże, co za cud się stał?... Któryż to z Twoich, o, Panie, aniołów, zniszczył to dzieło piekielne, tę machinę ohydną... na zgubę świętego miejca przez szatana i jego pomocników-pludrów przygotowaną?...

I rozłożywszy ręce, pobiegł na dziedziniec klasztorny, wołając:

— Cud się stał!... przeklęta wieża zniszczona!... Boży w tem palec!... znak łaski Bożej!...

Usłyszał to ksiądz przeor, który właśnie szedł z mocnem postanowieniem sprowadzenia z wałów rannego pana Jana Skórzewskiego i rzekł z żywą radością:

— Niechajże sobie jutro Szwedzi szturmują, kiedy ten potwór groźny w proch starty!.. Miesiąc tego olbrzyma wróg budował, nie szczędząc trudów zamorskich inżynierów, aliści w jedną godzinę Bóg te zbrodnicze wysiłki w niwecz obrócił!" Jeno kto był owem narzędziem w ręku Pana?... Kto dopełnił tego dzieła?... Cud chyba, cud?!..

Mówiąc to, obaj z panem Skórzewskim weszli w korytarze klasztorne.

ROZDZIAŁ XVI.

Gdy owej pamiętnej nocy Grześ wraz z Zapałą wypadli z namiotu szwedzkiego i odłączywszy się od młodego hrabiego i towarzyszącego mu Włocha, popędzili wprost ku palącej się wieży, gdzie wrzała walka, byli przygotowani na zgubę pewną.

Ale na nic nie zważali, gdyż parła ich ku swoim, ku dzielnej garstce obrońców jasnogórskich nieprzeparta siła.

Tam, przy tej płonącej wieży połączą się z nimi i już z nimi pozostaną, tam ramię przy ramieniu, do ostatniego tchnienia walczyć będą.

Biegli wśród krzyków i zamieszania.

Część obozu już się rozbudziła, i żołnierze wszelkiej broni, nagleni przez oficerów, jak kto stał, pędzili w stronę, w której krwawy słup ognia strzelał w górę i gdzie słychać było huk wystrzałów.

Wielu żołnierzy, spoczywających w namiotach, oficerowie tak gwałtownie ze snu głębokiego pobudzili i za broń chwycić im rozkazali, że

ci, przejęci trwogą, chwytali za strzelby i biegli, jak oszaleli, nie troszcząc się o ubiór.

Wśród nich właśnie znaleźli się Grześ i dzielny Zapała.

Nikt na nich nie zwracał uwagi; oficerowie szwedzcy, widząc, że biegną wraz z nimi ku nieprzyjacielowi, brali ich za swoich.

— Pilnuj się! — szepnął Zapała, zwracając się do Grzesia — oni są przekonani, żeśmy ich ludzie!...

— Wiem, co mam robić! — odparł szeptem młodzieniec.

Niebawem dobiegli do pierwszych przekopów i zmieszali się z silnym oddziałem piechoty. Oddział ten od kwadransa bił się już z garścią rycerzy jasnogórskich, która śmiało wśród nocy natarła na straże przy wieży-taranie, pobiła je i samą wieżę podpaliła.

Ale w chwili, gdy Grześ z Zapałą przybyli na plac walki, już Polacy cofnęli się pod osłoną nocy z powrotem do klasztoru.

— Słuchaj — rzekł Zapała do Grzesia — jeśli chcesz ratować życie, rób, co ja robię!

Co rzekłszy, chwycił za wiadro z wodą i gasił żarzące się tu i owdzie belki.

Szwedzi rozstawiali już straże, potrójnym szeregiem otoczyli wieżę, klnąc i w sprośnych wyrazach złorzecząc klasztornym.

Słysząc to, gorzeli gniewem Grześ i Zapała.

— Nie udała wam się, psy księże, wycieczka!... Zapędziliśmy was z powrotem do psiarni! — wołali Szwedzi.

Tymczasem jak mrówki pięli się żołnierze po licznych wieży piętrach i gasili ogień.

Sam Müller przybył, w otoczeniu świty, mając przy boku księcia heskiego, który głośno oburzał się na zuchwalstwo załogi klasztornej.

— To banda szaleńców! — powtarzał przez zaciśnięte zęby — co za zuchwalstwo!... Ta garść fanatyków o mało nie zniszczyła istnego arcydzieła sztuki inżynierskiej!...

Umilkł i po chwili zaczął wołać ulubionego giermka.

— Hej, Dziowanelli!... gdzie jesteś, drogi chłopcze?...

Odpowiedzi nie było.

Müller wprawnym okiem obejrzał uszkodzenia wieży i wydał rozporządzenie do ich natychmiastowej naprawy, poczem nakazawszy czujność, odjechał.

Ucichła też już była niebawem walka. Klasztorni schronili się do twierdzy.

Zapała, który znał zwyczaje obozowe szwedzkie, na zapytania żołnierzy lub oficerów odpowiadał krótko, lecz trafnie.

Do gromadki piechurów, wśród których znajdował się z Grzesiem, zbliżył się oficer i rzucił rozkaz:

— Wy wszyscy strzedz macie prochów w pobliżu wieży ukrytych.

I poprowadził ich na lewo, ku głębokiemu dołowi, w którym złożono amunicyę, aby ją mieć w pogotowiu do jutrzejszego szturmu.

— Gdyby klasztorni byli wiedzieli, że tu Szwedzi złożyli prochy, byliby je najsamprzód zapalili... — pomyślał Grześ.

I nagle myśl niesłychana przyszła mu do głowy:

— Zapalę te prochy!... wieżę rozsadzę niemi!

I to pragnienie tak silnie w nim rozgorzało, że w tej chwili niem tylko oddychał, a potęgowało się ono z każdą chwilą, gdy sobie pomyślał, co będzie, jeśli jutro, tę wieżę olbrzyma Szwedzi podsuną pod mury Jasnej-Góry?...

Widział już tryumf Müllera, widział zbezczeszczenie przesławnej świątyni.

— Choćbym miał sam zginąć, odważę się na zapalenie prochów!— powtarzał sobie w myśli z postanowieniem niezłomnem.

Idąc tuż przy Zapale, szeptem zwierzył mu się, co zamierza uczynić.

— Byłaby to rzecz wielka dla klasztoru... rzecz godna prawdziwego rycerza! — odrzekł tenże.—I tak, przede dniem, musimy stąd uciekać... W przeciwnym razie śmierć nas czeka na szubienicy... Poznają Szwedzi, kto jesteśmy...

Siła złego ta wieża i te prochy mogą jutro zrobić klasztorowi!... Godziwa rzecz zniszczyć takowe narzędzia szatańskie!...

I umówili się, że niech się jeno uspokoi w obozie i warty znużą się czuwaniem, oni wezmą się do dzieła.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.





Kompania z Nieświcza, dyecezyi Łucko-Żytomierskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Nowiny z Częstochowy.

Głos ks. prałata Waberskiego. W-ni Państwo Ignacy i Ewa, małżonkowie Bojaszczek, zamieszkali w Warszawie, na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwe przeżycie w stanie małżeńskim 25 lat — ofiarowali do budującego się kościoła Ś-ej Rodziny w Częstochowie, dwa dzwony, ważące: jeden 10 pudów, drugi 15 pudów, z pobożnem zastrzeżeniem, aby mniejszy był użyty do dzwonienia na „Anioł Pański". Dzwony te pokonsekrowane przez J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza sam ofiarodawca odwiózł do Częstochowy i proboszczowi do rozporządzenia oddał. Dowiedziawszy się, że wielki dzwon Zygmunt, który 194 lat głosem swoim ludzi do pokuty nawoływał, w tym roku w dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny pękł, obiecał, że w swoim czasie przyłoży się także do pokrycia kosztów przelania tego dzwonu. Niechże im Pan Bóg tę hojność nagrodzi swemi łaskami i pomnożeniem tego, co mają— serdeczne Bóg zapłać! Oby przykład ten ofiarności, jak najwięcej znalazł naśladowców, gdyż budowa kościoła Ś-ej Rodziny bardzo potrzebuje funduszów, na pokrycie powstałych długów. Roboty posunięto już do górnego gzemsu i możnaby w roku przyszłym wprowadzić nabożeństwo, lecz na to potrzeba pomocy. Nasz ubogi robotnik w obecnych okolicznościach nie jest prawie w stanie czegoś zaofiarować.

Możeby współbracia robotnicy w Ameryce przyszli z pomocą i zakupili ołtarz, lub ambonę — może okna kolorowe, może organy, kielichy, aparaty, albo posadzkę; wszystkiego potrzeba, a nic niema prócz długów. „Dyń! dyń! dzwonek dzwoni, nieście na kolędę Ś-ej Rodzinie, jakby do żłobeczka, co kto ma, jak ongi pastuszkowie, a Boskie Dzieciątko z sercami waszemi i ofiary z wdzięcznością przyjmie".

Ś. p. ks. Łukasz Brondzo. Smutna uroczystość zgromadziła w dniu 28 października liczny zastęp wiernych i kapłanów przybyłych na ten dzień z różnych stron do klasztoru Jasnogórskiego.

W dniu tym złożono do grobów klasztornych zwłoki ś. p. księdza paulina Łukasza Brondzo, zakonnika, wikaryusza klasztoru Jasnogórskiego. W sile wieku, bo w 55 roku życia, zmarł po krótkiej chorobie płucnej.



Ś. p. O. Paulin Łukasz Brondzo.

Był to zakonnik poważny, cichy, pracowity. Póki był zdrów, zawsze rano i popołudniu z największą punktualnością siadywał w konfesyonale. Dobrocią serca i prawością charakteru zjednywał sobie wszystkich, którzy go bliżej poznali. Śmierć jego wywołała szczery żal po nim w licznem gronie przyjaciół i penitentów, a redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ straciła w tym zacnym bracie-kapłanie rozumnego

doradcę i przyjaciela. To też z pokorą błagalną ślemy westchnienie do Stwórcy najmiłosierniejszego: „Daj mu, Panie, wieczny odpoczynek!"

Kompania z Nieświcza, dyecezyi Łucko-Żytomierskiej. Z odległych stron, nie szczędząc ciężkich trudów pielgrzymki, czcigodny ksiądz Żukowski, proboszcz z Nieświcza, przywiódł swoje owieczki do stóp ołtarza z cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Zwracała ta kompania ogólną uwagę wyjątkowem zachowaniem się swojem na miejscu świętem: pokorą, pobożnością, serdeczną uległością wobec swojego pasterza, który z ojcowską miłością i troskliwością czuwał nad ukochanymi parafianami, po raz pierwszy przybyłymi na Jasną-Górę. Wszędzie ich sam oprowadzał i sam wszystko szczegółowo objaśniał i tłumaczył. Cześć Ci za to, Czcigodny Pasterzu... Obyśmy Cię na tem świętem miejscu w najdłuższe lata rokrocznie oglądali!...

Sprostowanie. W tomie październikowym „Dzwonka Częstochowskiego na stronicy 121, dany jest mylnie podpis pod kompanią. Zamiast: Kompania z parafii Lisków etc. — powinno być: Kompania z parafii Pińczyce, dyecezyi Kieleckiej, pod przewodnictwem swego pasterza ks. Daniela Piotrowskiego. — Bardzo nam przyjemnie zaznaczyć, że wierni nowoutworzonej parafii Pińczyce przychylni są Kościołowi swemu, dbają o wszystko, co się odnosi do czci Bożej i kochają swego gorliwego pasterza.

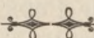
O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski.

Wł. Kul. z Sm.	rb. — 60 kop.
Ks. M. Monk. z K.	rb. 6 — kop.
W. i M. Wojtk. z G.	rb. — 20 kop.

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie.

H. Osm. w L.	rb. 1 — kop.



Nowiny z daleka i z blizka.

Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Zbliża się termin głównych uroczystości jubileuszowych. Rozpoczną się one dnia 27 miesiąca bieżącego otwarciem Wystawy Maryjnej w pałacu lateraneńskim; podczas zaś dwóch dni następnych będą się odbywały modły żałobne za Papieży: Piusa IX i Leona XIII, którzy mieli osobliwe nabożeństwo do Najświętszej Panny. Kongres Maryjny rozpocznie się 30 listopada, a zakończy się 4 grudnia. Równocześnie przez trzy dni w bazylice Najświętszej Panny Większej odprawiać mają solenne nabożeństwa kardynałowie: Rampolla, Ferrata i Vives y Tuto. Dnia 8 grudnia Jego Świętobliwość Pius X ukoronuje obraz Matki Bożej w kaplicy chóru kościoła Ś go Piotra. Oprócz tego odbędą się: procesye po katakumbach Ś-tej Pryscylli, gdzie się znajduje najstarszy wizerunek Maryi; dwa walne zebrania zgromadzeń i stowarzyszeń Maryjnych; podczas nabożeństwa w kościele Ś-go Piotra, wykonany zostanie nowy utwór muzyczny Ojca Perosiego, poświęcony uwielbieniu Maryi. Wszystkie kościoły rzymskie będą uczestniczyły w uroczystościach.

= Wystawa Maryjna zapowiada się wspaniale; zajmie ośm sal w pałacu lateraneńskim. Między innymi Czesi nadeślą arcydzieła sztuki kościelnej, związane ze czcią Maryi. Zajmuje się tem kardynał Skrbeńsky. Książę Lobkowitz nadeśle Mszał Papieża Inocentego, a hrabia Palffy oryginał obrazu Najświętszej Panny z Brzeźnic. Na kongresie czytane będą prace naszych uczonych, pisane po francusku. Oto tytuły głównych: ks. Jan Fijałek, profesor uniwersytetu lwowskiego, nadesłał: „Cześć Matki Bożej w Polsce“; Maryan Bartynowski — „Cudowne miejsca czci Najświętszej Panny“; profesorowie uniwersytetu lwowskiego: Antoni Kalina i Bruchnalski — „Hymn Bogarodzica“;

profesor Tretiak z Krakowa — „Najświętsza Panna w poezyj polskiej“ (pracę tę streszczamy w „Dzwonku Częstochowskim“); ksiądz Surzyński — „Najświętsza Panna w muzyce polskiej“; Adam Miodoński z Krakowa — „Najświętsza Panna na freskach katakumb“; ksiądz Jan Siemieński, z gubernii radomskiej — „Śluby króla Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej“; profesor Jerzy Mycielski — „Najświętsza Panna w malarstwie i rzeźbie polskiej“.

= Stowarzyszenie włoskiej młodzieży katolickiej, pod kierunkiem prezesa swego, adwokata Pericoli, przygotowuje się do uczestniczenia w uroczystościach jubileuszowych. Ponieważ związek ten jest szeroko rozpowszechniony w całych Włoszech, więc członkowie onego zbiorą się na dzień 8 grudnia w Rzymie. Ojciec Ś-ty przyobiecać raczył, iż młodym pątnikom udzieli posłuchania.

Inne wieści z Rzymu. Najdostojniejszy arcybiskup warszawski ks. Popiel odwiedził Rzym i był dopuszczony przed oblicze Jego Świętobliwości. Posłuchanie odbyło się poufnie. Jego Świętobliwość przyjął arcypasterza naszego z ojcowską dobrocią i wylaniem serdecznem.

= Hołd Ojcu Ś-mu złożył patryarcha unitów wschodnich greckiego obrządku, zwany też patryarchą Melchitów, Cyryl VIII. Światły ten mąż jest pochodzenia arabskiego. Jako patryarcha grecko-katolicki na Wschodzie, nosi on nadto tytuły od trzech swoich siedzib: patryarchy antyocheńskiego, aleksandryjskiego i jerozolimskiego. Ogółem patryarchat jego liczy 230 tysięcy dusz, z tych 190 tysięcy przypada na Syryę, reszta na Egipt Cyryl VIII piastuje godność 2 i $1/_2$ lata. Do Rzymu jechał przez Konstantynopol, gdzie sułtan przyjmował go bardzo łaskawie. Patryarcha stwierdził, iż sułtan okazuje katolikom w Azyi Mniejszej wiele przychylności.

= Do Rzymu przybyła liczna pielgrzymka członków francuskiego Stowarzyszenia Młodych Katolików. Ogółem wynosiła tysiąc dwieście osób. Jego Świętobliwość przyjąć pątników raczył w Sali Królewskiej. Tron Papieża otaczali—kardynał Segna, oraz arcybiskupi i biskupi francuscy. Przewodnik pątników, p. Levolle, odczytał adres, w którym nadmieniono, że członkowie Stowarzyszenia Młodych Katolików, młodzi ludzie z różnych stron Francyi, należący do różnych stanów, złączeni pod godłem Krzyża, pracując uczciwie dla kraju rodzinnego, stoją wiernie przy wierze Chrystusa i mimo prześladowania Kościoła we Francyi, wytrwają w dawnych tradycyach, jako niezłomni synowie Stolicy Apostolskiej. Stowarzyszenie istnieje lat 18, z wielkim pożytkiem dla kraju

i Kościoła. Członkowie mają nadzieję, że Bóg nadal również będzie wspierał ich pracę. Składając hołd Ojcu Ś-mu, proszą Go o błogosławieństwo i słowo otuchy. Ojciec S-ty szczerze był wzruszony, słuchając tych słów zacnych, pobłogosławił pielgrzymów, przemówił do nich serdecznie. Gdy wzniósł dłoń błogosławiącą, pątnicy uklękli, sześćdziesiąt ich chorągwi trójkolorowych pochyliło się, zabrzmiał okrzyk. — Niech żyje Papież Pius X!

= Kapłan francuski, ks. Thellier de Pancheville, złożył Ojcu Ś-mu adres z podpisami 500 tysięcy osób. Podpisy zebrało czasopismo francuskie: „Krzyż“.

= Również miała szczęście złożyć hołd Jego Świętobliwości pielgrzymka szwajcarska, w liczbie 500 osób, przybyła pod kierunkiem ks. Perichorosini, biskupa z Lugano, oraz stu Węgrów, Tercyarzy Ś-go Franciszka.

= Miasto Treviso obchodzić będzie sześćsetną rocznicę zgonu Papieża Benedykta XI, który w tem mieście się urodził. W uroczystości uczestniczyć będzie wysłany przez Papieża kardynał Collegari.

= W Sora, w pobliżu Neapolu, znajduje się cudami słynący wizerunek Najświętszej Panny. Niedawno odbyła się koronacya tego obrazu. Aktu uroczystego dokonał kardynał Segna.

= W jednym z kościołów rzymskich znaleziono cenne dzieło sztuki, stwierdzające, iż Ś-ty Wojciech od czasów niepamiętnych doznawał w Rzymie czci osobliwej. Mianowicie w kościele Ś-go Bartłomieja dell Isola, który niegdyś nosił miano Ś-go Wojciecha, znaleziono w kaplicy Najświętszego Sakramentu, po usunięciu figury z nowych czasów, malowidło ścienne, trochę już zatarte, pochodzące z XIII stulecia. Wyobraża ono Maryę z Dzieciątkiem, oraz ze Ś-ymi Bartłomiejem i Wojciechem. Dzieciątko jedną ręką błogosławi, w drugiej trzyma zwój pargaminu. Święci stoją po bokach tronu Maryi. W tymże kościele znajduje się skrzynka z ramieniem Ś-go Wojciecha i studzienka marmurowa, przyozdobiona rzeźbami, wyobrażającemi Ś-go Wojciecha, Ś-go Bartłomieja, oraz cesarza Ottona III.

= Opactwo bazyliańskie Grottaferrata, w pobliżu Rzymu, obchodzi dziewięćsetną rocznicę swego istnienia. W uroczystościach uczestniczą wysłani przez Ojca Ś-go kardynałowie: Agliardi i Satolli. Ojciec Ś-ty nadto wystosował do opata, Ojca Arseniusza, pismo, w którem nadmie-

nia, że przyłączenie Kościoła wschodniego do Kościoła rzymsko-katolickiego było gorącem pragnieniem Papieża Leona XIII, który w tym celu czynił usilne starania. Już istnienie przez tyle wieków, w samem środowisku Kościoła rzymskiego, klasztoru Bazylianów dowodzi, że Stolica Apostolska zawsze była przyjaźnie usposobioną dla obrządku wschodniego.

= Straszna wiadomość nadeszła z części Australii, zwanej Nową Gwineą: dzicy krajowcy wymordowali tam misyę Ś-go Pawła. Dzieło zbrodnicze rozpoczął krajowiec To-Maria, już wprawdzie ochrzczony, lecz który się jeszcze nie wyzbył krwiożerczych instynktów. Pełnił on przy misyi obowiązki strzelca, to jest dostarczał mieszkańcom misyi zwierzyny. Ojciec Rascher, kierownik misyi, udzielał mu broni i amunicyi w tym celu. W dniu zbrodni Ojciec Rascher czuł się niezdrowym, więc pozostawał w swej celi, gdy reszta zakonników i zakonnic spełniała zwykłe prace codzienne. To-Maria wyszedł niby na polowanie, lecz powrócił niebawem i strzelił do Ojca Raschera, który padł trupem na miejscu. Siostrę Annę, nadbiegłą na ratunek, spotkał ten sam los. W chwilę potem cała misya przedstawiała widok okropny, gdyż To-Marii przybyli z pomocą inni krajowcy. Urządzili oni w całem znaczeniu rzeź. Nie oszczędzili ani tych Sióstr, które właśnie wracały z wioski sąsiedniej, gdzie opatrywały i doglądały chorych; ani Siostry Agnieszki, która przystrajała ołtarz w kaplicy; ani zakonników, pracujących w ogrodzie i nad budową nowego kościoła. Wszyscy padli ofiarą rozbestwionej tłuszczy. Nadmienimy, że misya Ś-go Pawła została utworzoną w r. 1889 i pod nazwą Wikaryatu Apostolskiego obejmuje znaczną liczbę wysp z mniejszemi zakładami misyjnemi. Biskupem misyi jest ks. Ludwik Couppé, liczący lat wieku 53. Przed wymordowaniem misya posiadała: 20 Misyonarzy-kapłanów, 29 Braci i 17 Sióstr ze zgromadzenia Matki Boskiej od Najświętszego Serca. Należy ta misya do rządu niemieckiego.

= Pogan dojrzałych trudno przekształcić na chrześcijan gorliwych, gdyż z zastarzałemi wyobrażeniami i przyzwyczajeniami walka ogółem biorąc bardzo trudna. Jednak żarliwość Misyonarzy prowadzi ją tak skutecznie, że nawet pomiędzy poganami, nawróconymi w wieku dojrzałym, spotyka się przykłady prawdziwie chrześcijańskiej cnoty. Oto dowód, dostarczony przez Ojca Cransaca. Opowiada on o pewnym krajowcu z Kochinchiny, nazwiskiem Andrzej Do.

„Człowiek ten — słowa Ojca Cransaca — po dobrem przygotowaniu, został nauczycielem. Przeczytawszy kilka książek francuskich, doszedł do przekonania, że prawdziwą wiedzę i związane z nią korzyści osiąga się tylko przy pomocy religii chrześcijańskiej. To nasunęło mu myśl nawrócenia się, a zapoznanie się z chrześcijanami utwierdziło go w tem postanowieniu. Pożyczał tedy od Misyonarzy dzieła religijne, porównywał swój pogański buddaizm z religią chrześcijańską, a tym sposobem łatwo doszedł do prawdy. Czekały go jednak próby. Naprzód zachorowało mu śmiertelnie dziecko. Widząc stan niebezpieczny, wezwał jednego z chrześcijan, aby chłopca ochrzcił. Wkrótce potem chłopiec umarł.

— On szczęśliwszy teraz niż my — tłumaczył żonie Do — bo dostał się do nieba. Lecz nam, mieszkającym daleko od chrześcijan, grozi niebezpieczeństwo śmierci bez chrztu. Poproszę o przeniesienie mnie do miejscowości, w której znajduje się kościół chrześcijański.

Jakoż przeniesiono go do Co-ngangu, gdzie mu umarły dwie córeczki, wkrótce po ich ochrzczeniu. Więc od chwili, w której postanowił zostać chrześcijaninem, stracił troje dzieci, mimo to wytrwał w swoim zamiarze. Mówił do żony:

— Jeśli umrzemy bez Chrztu Świętego, nie zobaczymy naszych kochanych dzieci.

Małżonka wahała się, Do nakłaniał ją do przyjęcia wiary chrześcijańskiej rozsądnie. Sam ją obznajmiał z zasadami tej wiary, gdyż umiał wszystkie modlitwy, cały katechizm i znał dobrze Ewangelię. Wreszcie 2 lipca 1899 r., cała rodzina Do przyjęła Chrzest Ś-ty. Do powiedział wtedy do mnie:

— Ojcze, gdybym na twoje pytanie: „czy wyrzekasz się szatana?“, mógł wyrazić wszystko, co myślę i czuję, zaręczam ci, że szatan nie bardzo byłby ucieszony! Tak jest — wyrzekam się szatana całem sercem i na zawsze, nie posiadam się z radości na myśl, że stałem się dzieckiem Boga i Kościoła.

W sierpniu tegoż roku Do przyjął pierwszą Komunię Ś-tą. Podczas aktów dziękczynnych, nie mógł ze wzruszenia wymówić słowa, lecz łzy, płynące z oczu jego, były aż nadto wymowne. Wkrótce umarło mu czwarte dziecko. Jeden z Misyonarzy starał się go pocieszyć, on zaś rzekł:

— Mój Ojcze, jestem zupełnie zadowolony, raduję się szczęściem mego dziecka. Czwarte już z moich dzieci spotyka zaszczyt, że Bóg zaliczyć je raczył do grona Aniołów.

Do pędzi życie tak regularne, jak zakonnik. Wstawał o w pół do piątej rano, odmawiał Różaniec, a później spólne modlitwy poranne z całą rodziną swoją; potem przygotowywał się do lekcyj i szedł do

szkoły, gdzie pracował od 7 do 10 rano. Spożywszy o 11 obiad, odmawiał drugą część Różańca. Od 1 do 5 znów uczył w szkole, a po skończonej wieczerzy szedł do kościoła, tam na ołtarzu Matki Bożej składał bukiet kwiatów, odmawiał Drogę Krzyżową lub inne modlitwy. Resztę wieczora spędzał, czytając Pismo Ś-te i udzielając kilku młodzieży lekcyj języka francuskiego. Wieczorem także przychodzili do niego ubodzy krajowcy, którym pomagał jako doradca, tłumacz, sekretarz, cieszył się bowiem zaufaniem spółmieszkańców.

Nic dziwnego, że ten skromny nauczyciel wiejski zjednał sobie wielki szacunek i sympatyę zarówno Anamitów, jak i Francuzów. Pięknym rysem jego charakteru było gorące nabożeństwo do Najświętszej Panny. Z Różańcem ani na chwilę się nie rozstawał, odmawiał go przy każdej sposobności. Troski swoje na kolanach Bogu i Najświętszej Jego Matce polecał. Zbudował piękny ołtarz ku czci Maryi, na przyozdobienie kościoła składał często ofiary.

Będąc usposobienia gwałtownego, zdarzało się, że gniewem wybuchał, lecz zawsze popędliwości żałował ze skruchą.

Szlachetną tę duszę Bóg wreszcie powołał do Siebie. Umierał zacny ten człowiek przykładnie, jak na chrześcijanina przystało. Tacy nawróceni są dla Misyonarzy osłodą ich twardego zawodu".

Obraz Matki Boskiej, łaskami słynącej, we Wrocieryżu. Na półwiekowy jubileusz ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny proboszcz wrocieryski, ks. Stefan Stuczeń, napisał i wydał „krótką historyę obrazu" Matki Boskiej w tamecznym kościele parafialnym.

Skromna, na pozór, broszura wzbogaca cennym klejnotem piśmiennictwo Maryologiczne, dorzuca do dziejów czci Maryi w kraju naszym i historyi dawnych świątyń — sporo szczegółów doniosłych.

Bo oto np. z mroków przeszłości wyprowadza na światło postać jednego z dawnych proboszczów wrocieryskich, ks. Stanisława, zwanego „Venatorius" albo Łowczycem, gdyż z Łowicza pochodzącego. Objął on to probostwo przed r. 1542, a po powiększeniu kościoła, po pomalowaniu go i zaopatrzeniu w nowe aparaty, sprowadził na 22 października 1545 r. biskupa kamienieckiego, L. Słonczewskiego, który konsekrował świątynię. Ks. Stanisław z Łowicza był właśnie „szczególnym czcicielem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny", a jako pracowity teolog napisał i wydrukował w Krakowie, r. 1538, traktat o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny, do którego dołączył 3 kazania o Niepokalanem Poczęciu, miane do ludu. W r. 1552 przenie-

siono ks. Stanisława z Wrocieryża na proboszcza u Ś-go Jana w Gnieźnie. Ks. Stuczeń tak czci pamięć swego poprzednika:

„Ciesz się, Łowiczu, w roku jubileuszowym, że z ciebie wyszedł nie ziemski jakiś książę, lecz książę pisarzy o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny!“ (i dalej). Matka ks. Stanisława z Łowicza — Helena z Łęczkowic — zmarła w Wrocieryżu r. 1548, a pamięć jej przechowuje, w kościele tamecznym, obraz nagrobkowy, malowany na desce.

Przeszło od 3-ch wieków obraz Matki Boskiej wrocieryskiej słynie na okół łaskami, a od przeszło stu lat Wrocieryż posiada figurę Niepo-



Kościół we Wrocieryżu.

kalanie Poczętej; to też w roku jubileuszowym Władza dyecezyalna wyznaczyła do tej świątyni procesye uroczyste z parafij okolicznych.

Wieś Wrocieryż leży na lewym brzegu rzeki Mierzawy, wpadającej, pod Pińczowem, do Nidy, należy do dekanatu jędrzejowskiego, dyecezyi kieleckiej. Skorupy z popielnic różnych kształtów, znajdowane na gruntach tamecznych, urny i t. p. wykopaliska dowodzą nadzwyczajnej strożytności tej osady.

Akt erekcyjny kościoła zaginął, czemu się dziwić nie można wobec częstych przechodów tamtędy różnych hufców wojennych; jedna

z dróg nosiła jeszcze niedawno miano „Wojskiej". Bądź co bądź, pierwszą wiadomość o kościele i plebanii we Wrocieryżu znajdujemy już pod r. 1326. Od r. 1394 do, mniej więcej, 1785 Wrocieryż był własnością Bożogrobców Miechowskich, czyli Kanoników regularnych ś-go Augustyna, zwanych Stróżami Świętego Grobu Chrystusowego w Jerozolimie; z ich grona byli wybierani kapłani na proboszczów wrocieryskich.



Kościół we Wrocieryżu: Prezbyteryum kościoła i wielki ołtarz.

Pod koniec r. 1620 sprowadził się z probostwa na Rusi do Wrocieryża ks. Wojciech Kaszowski, kapłan, mający szczególne nabożeństwo do Bogarodzicy Dziewicy; on to zapewne sprowadził obraz Matki Najświętszej, piastującej na ręku Pana Jezusa, malowany na desce: na domysł ten naprowadza napis na odwrotnej stronie obrazu: „Malowany przez Michała Kaszowskiego."

Po półtorarocznym pobycie, ks. proboszcz Kaszowski zmarł r. 1622, w sam dzień swego Patrona — Wojciecha.

— Jak upodobała sobie Pani całego świata tutejsze wiejskie ustronie, — pisze ks. Stuczeń — i jak chciała, by Ją tu szczególniej czczono, można przekonać się z tego, że prośby i błagania ludzi, w różnych potrzebach zanoszone przed tym obrazem, bywały często wysłuchiwane przez Boga za Jej przyczyną, a wdzięczni za otrzymane łaski i dobrodziejstwa, tak z parafii, jak i z dalszych okolic, składali w ofierze różne wota na obrazie.“

Czcigodny autor w mrówczej swej pracy podaje dokładny spis wotów, upiększeń, firanek, jakie niegdyś zdobiły obraz cudowny; — sprzedano je w r. 1796 na — reparacyę kościoła i plebanii.

Obraz cudowny spoczywał niegdyś w ołtarzu bocznym, przy przebudowie jednak dawnego kościoła na obecny, w latach 1801 — 1802, ks. Karol Januszewski, Miechowita, ufundował wielki ołtarz z kamienia pińczowskiego i do niego przeniósł obraz w wigilię dnia Bożego Ciała, 16 czerwca r. 1802. Tenże czciciel Maryi, ukończywszy budowę frontowej facyaty kościoła, w r. 1802, na samym szczycie tej facyaty umieścił statuę Niepokalanie Poczętej Najświętszej Maryi Panny.

Obecny proboszcz, ks. Stuczeń, objąwszy parafię wrocieryską przed 20-tu laty, zastał obraz cudowny bez żadnej zasłony, ani zasuwy; polecił więc odnowić i nakleić na nowe płótno wiszący na ścianie kościelnej, duży obraz Przemienienia Pańskiego i uczynił z niego zasłonę obrazu cudownego. W jakiś czas potem udało się ks. proboszczowi stwierdzić, że obraz-zasłona wyszedł z pod pędzla znakomitego malarza kościelnego, Smuglewicza. Cudowny więc obraz, czczony przez tyle pokoleń, doczekał się, przypadkowym sposobem, godnej zasłony.

Podajemy skwapliwie te szczegóły, wraz z odbitką cudownego obrazu i widokiem zewnętrznym kościoła wrocieryskiego, ku rozszerzeniu śród wiernych wieści o tych zabytkach czcigodnych, wyrażając serdeczne: „Bóg zapłać!” ks. Stuczniowi za jego piękną, zbożną pracę.

K. H.

Echa kongresu Maryańskiego. Jeden z mówców kongresowych, dr. Janusz Przygodzki, przytoczył szereg dat, tyczących się rozwoju Sodalicyj polskich. Dane te przydadzą się może naszym czytelnikom. Sodalicye powstały pierwotnie w Rzymie, dla uczącej się młodzieży, w drugiej połowie XVI-go wieku. Za panowania Papieża Grzegorza XIII-go przypadają czasy świętego ich rozwoju; stowarzyszenia Maryańskie rozszerzyły się śród wszystkich warstw i zawodów za Sykstusa V-go.

W Polsce już w roku 1600 znajdujemy te stowarzyszenia w rozmaitych konwiktach śród młodzieży szkolnej.

Zatwierdzone przez Urbana VIII bullą z 5-go lipca 1636 r. statuty kongregacyj polskich zawierają, jako główny obowiązek Sodalisów, postanowienie, że „członkowie Sodalicyj winni krwią własną bronić granic" kraju. W XVII-ym wieku Sodalicye objęły wszystkie warstwy społeczne i wszystkie ziemie. W przededniu utraty niepodległości upadają też kongregacye. Dopiero z podniesieniem się ducha religijnego w kraju, budzą się do nowego życia Sodalicye; powstają wtedy: Sodalicya młodzieży kupieckiej i akademickiej w Krakowie, sodalicya młodzieży akademickiej we Lwowie, sodalicya ziemian powiatu sanockiego, buczackiego i t. p. Sprawom Sodalicyj galicyjskich służy pismo „Sodalis Marianus", redagowane przez p. M. Bartynowskiego.

Uroczystości koronacyjne w Tarnobrzegu, w Galicyi. Nadeszła dla miasta Tarnobrzega chwila oczekiwana, pamiętna na historycznej karcie hołdów oddanych Niepokalanej Dziewicy Maryi — koronacya cudownego obrazu Najświętszej Panny Maryi Dzikowskiej.

Miasto przez cały przeciąg dziesięciodniowych uroczystości przybrało świąteczną postać.

Dnia 30 sierpnia po południu, przy odgłosie dzwonów i wystrzałów moździerzowych, powitano procesyonalnie i wprowadzono do kościoła ks. arcybiskupa Webera, który rozpoczął uroczystości koronacyjne przemówieniem z tronu. Następnie odśpiewano „Veni Creator" i nieszpory, poczem kierownik misyi, Ojciec Czesław Mączka, przeor OO. Dominikanów w Tarnopolu, miał pierwszą naukę misyjną.

Przez cały czas misyi, zawsze o godzinie 7, była uroczysta wotywa, po niej pierwsza nauka misyjna, o godzinie 10 suma z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, druga nauka, po południu o g. 3-ej nieszpory i trzecia nauka misyjna. Wieczorem o godzinie wpół do 7-ej odprawiano nowennę przez odśpiewanie litanii Loretańskiej i „Pod Twoją obronę", poczem Ojciec Konstanty Żukiewicz miał kazanie: o czci Najświętszej Panny Maryi.

Dnia 6 września przybył do Tarnobrzega ks. biskup Józef Pelczar, delegowany przez Stolicę Ś-tą, jako koronator. Na peronie oczekiwał dostojnego gościa komitet obywatelski, którego imieniem przemówił mecenas Surowiecki. W imieniu duchowieństwa powitali arcypasterza: O. Stefan Płaszczyca, przeor OO. Dominikanów w Tarnobrzegu, oraz ks. probosz, kanonik Rychel. Przy bramie miejskiej oczekiwała ks. biskupa Koronatora z hołdem miejscowa gmina izraelska, w której imieniu przemawiał tamtejszy rabin. U bramy głównej czekała procesya wraz z duchowieństwem, na której czele był O. Prowincyał OO. Domi-

nikanów. Obok duchowieństwa zebrane były wszystkie władze miejscowe. Wśród bicia w dzwony i z moździerzy, wszedł ks. biskup Pelczar do kościoła. Tu po zwykłych modłach, przemówił od ołtarza, wyrażając swą radość i wdzięczność ku Najświętszej Panience, że jemu szóstemu, z pomiędzy 60 biskupów przemyskich, dostał się w udziale zaszczyt włożenia, imieniem Stolicy Ś-tej, złotych koron na skronie obrazu cudownego Najświętszej Panny Maryi.

W wigilię święta Narodzenia Najświętszej Panny Maryi, przed sumą, ks. arcypasterz Dyecezyi w asystencyi ks. biskupa Fischera i ks. infułata Kolora, dokonał uroczystego w procesyi przeniesienia cudownego obrazu, który niósł o. Prowincyał oo. Dominikanów wraz z 5 przeorami. Obraz umieszczono na wysokim ołtarzu, umyślnie gustownie zbudowanym, przy zewnętrznej ścianie kościoła od wielkiego ołtarza.

Po nieszporach, kiedy obaj księża biskupi udzielali Ś-go Sakramentu Bierzmowania, wyruszyła znowu powitalna procesya na przyjęcie nowego, dostojnego gościa, ks. arcybiskupa, metropolitę obrzędku ormiańskiego Teodorowicza ze Lwowa.

Nadszedł dzień 8 września, Narodzenia Najświętszej Panny Maryi— dzień uroczystej koronacyi.

Uderza wpół do dziesiątej, odzywają się dzwony, grzmią wystrzały moździerzowe — uroczysty akt koronacyi rozpoczyna się.

W kościele, wobec złożonych na ołtarzu złotych koron, odczytano najpierw akt Kapituły watykańskiej, uznającej na posiedzeniu swem dnia 19 kwietnia r. b. obraz Matki Boskiej Dzikowskiej za cudowny i nakazujący uroczystą jego koronacyę, potem ks. biskup Koronator poświęcił korony i klęcząc u stopni ołtarza, zaintonował „Pod Twoją obronę“. Poczem wyruszyła procesya z koronami do cudownego obrazu. Na czele idzie orkiestra miejscowa, dalej bractwo kościelne, długi szereg duchowieństwa. Przed ks. biskupem Pelczarem, który postępuje w otoczeniu ks. arcybiskupa Teodorowicza, ks. biskupa Fischera, ks. infułata Kolora, niesie złote korony twórca całej tej podniosłej uroczystości — ojciec Stefan Płaszczyca, przeor oo. Dominikanów w Tarnobrzegu.

Tło korony stanowi purpurowa emalia na złotej blasze, wieńczy ją 12 gwiazd brylantowych, na środku emalia niebieska z imieniem Maryi, u góry zaś zakończona jest złotym globem z krzyżem, wysadzonym brylantami. Cała wysadzona jest brylantami, szafirami, szmaragdami, rubinami i ametystami. Korona dla Dzieciątka Jezus jest znacznie mniejsza, wykuta również w złotej blasze i wysadzana kamieniami. Patrząc na te korony, a dziś już skroń wieńczące Maryi, możemy śmiało powiedzieć, że one są szczególną ozdobą Niepokalanej, bo te drogie kamienie, bo cała korona, to przedewszystkiem powstała z drobnych, nieraz krwa-

wą pracą zarobionych pieniędzy. Korony innych cudownych obrazów możne rody sprawiały, korony te, pierwsze w XX wieku, sprawił z drobnych składek przeważnie lud w pocie czoła pracujący.

Po przybyciu procesyi do obrazu cudownego, księża biskupi, duchowieństwo, zakonnice Dominikanki, Służebnice Serca Jezusowego i Najświętszej Panny Maryi, oraz rodzina Tarnowskich, w których domu był początkowo obraz umieszczony, zajęli miejsca na estradzie obok ołtarza. Przed pontyfikalną sumą, ks. Koronator odebrał od o. Prowincyała Floryana Bielata i ojca Przeora klasztoru, Stefana Płaszczycy, w imieniu zakonu kaznodziejskiego przysięgę, że koron nie zdejmą z obrazu i strzedz ich będą. Mszy świętej, celebrowanej przez ks. biskupa Pelczara, słuchała liczna inteligencya i lud, którego liczba doszła do 60,000. Podczas sumy, na osobnej estradzie, chór pod batutą p. Łopatyńskiego, dyrektora szkoły i prezesa „Sokoła“, wykonał piękne utwory muzyczne, po łacinie i po polsku. Porządku podczas całej uroczystości koronacyjnej strzegła straż ochotnicza tarnobrzeska i z innych miejscowości okolicznych.

Po skończonej sumie i przepisanych modłach, wstąpił ks. biskup Pelczar na ołtarz, w otoczeniu ks. arcybiskupa Teodorowicza, ks. biskupa Fischera, oraz ks. infułata Kolora i wśród pieśni „Matko niebieskiego Pana“, włożył i przybił do obrazu koronę dzieciątku Bożemu, mówiąc: „Jako przez niegodne ręce nasze tu na ziemi koronujmy Ciebie, tak niechaj chwałą przez Ciebie uwieńczeni będziemy w niebie“. Potem ozdobił skronie Najświętszej Maryi Panny; „Jako przez niegodne ręce nasze tu na ziemi koronujemy Ciebie, tak niechaj przez Chrystusa zasłużymy sobie być uwieńczeni w niebie“.

Odezwały się dzwony i wystrzały: — obraz ukazał się wiernym przyozdobiony złotemi koronami.

Dopełniwszy koronacyi, ks. biskup Pelczar, zwrócił się od obrazu i wypowiedział podniosłe kazanie do wszystkich warstw narodu, wskazując drogi, jakiemi kroczyć powinny. Wyraził radość, że w tym zakątku ziemi sandomierskiej, Matka Boża obrała sobie jedną z siedzib i stąd zlewa błogosławieństwa i łaski. Przypominając historyę obrazu Dzikowskiego, zaznaczył znakomity kaznodzieja, że jak na korony złożyły się wszystkie stany, tak wszystkie w zgodzie i miłości kupić się powinny przy ołtarzach Pańskich i w pracy społecznej. Wskazywał dalej na obowiązki, jakie ciążą na każdej z tych warstw ze stanowiska wiary i nawoływał do wytrwania przy jej sztandarze.

Po kazaniu Arcypasterz dyecezyi przemyskiej udzielił zgromadzonym rzeszom błogosławieństwa papieskiego, połączonego z odpustem zupełnym. Potem wszyscy biskupi wzięli cudowny obraz do rąk i nim błogosławili.

Po odśpiewaniu „Te Deum laudamus“ „Ciebie, Boże chwalimy“ cicha Msza święta przed ukoronowanym cudownym obrazem, zakończyła uroczystość koronacyjną.

Po południu, po nieszporach, celebrowanych przez ks. prałata kanonika Stachyraka, o godzinie 4, wyruszyła procesya z cudownym obrazem do zamku dzikowskiego, skąd przed trzema niemal wiekami przeniesiono go do kościoła OO. Dominikanów. Procesyę rozpoczęła orkiestra, bractwa z płonącemi świecami, chorągwiami i feretronami; w orszaku procesyjnym wraz z duchowieństwem postępowali trzej biskupi, infułat Kolor, oraz rodzina hr. Tarnowskich, obywatelstwo, mieszczaństwo i lud. Obraz cudowny wynieśli z kościoła jego stróże, oo. Dominikanie, potem kolejno wszystkie stany, a przy bramie parku ujęli go członkowie rodziny Tarnowskich i przez aleje przenieśli przed prawe skrzydło pałacu, obok kaplicy zamkowej. Tutaj urządzono na wzniesieniu ołtarz, na którym ustawiono obraz i otoczono światłem, oraz kwiatami. Na wzniesieniu okrytem kobiercami, zasiedli biskupi i duchowieństwo, stanęła rodzina Tarnowskich, na wielkim zaś placu przed obrazem, bractwa i cały orszak procesyjny. Po odmówieniu modlitw, ks. arcybiskup metropolita ormiański Teodorowicz wstąpił na trybunę i przemówił do zebranych. Na temat dzwonów, ogłaszających tę uroczystość, odezwał się do serc wszystkich stanów, aby wszystkich zachęcić do pracy nad ludem i aby wszystkie stany złączyły się w jeden harmonijny głos, któryby obiegł kraj cały.

Po kazaniu przy śpiewie litanii do Najświętszej Panny Maryi, już o zmroku, wracała procesya do kościoła. Przedstawiciele rodu Tarnowskich znieśli obraz z podwyższenia i u bram parku oddali go w ręce włościan, dalej nieśli go kolejno przedstawiciele obywatelstwa i mieszczaństwa, wreszcie u wrót świątyni wzięli na swe barki oo. Dominikanie i wprowadzili do kościoła, gdzie go umieszczono znowu w wielkim ołtarzu.

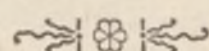
Wieczorem zamek, całe miasto i kościół zajaśniał rzęsistą illuminacyą. W późny wieczór, w kościele i przed kościołem, gromadziły się tłumy wiernych i śpiewały pobożne pieśni.

Jeszcze w następne dni bardzo wielu pątników przystępowało do Spowiedzi i Komunii świętej. Ogółem rozdano 20 tysięcy komunikantów, a około 6 tysięcy przystąpiło do ś-go Sakramentu Bierzmowania. Tłumy wiernych, rozmaitych stanów, które przez przeciąg dziesięciodniowych uroczystości przyszły pokłonić się Niepokalanej Panience, można liczyć na przeszło sto tysięcy.

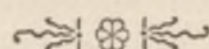
O. W. M. Sz. z Kazn.

MODLITWA.

Najświętsza — usłysz! Tu przed Twe ołtarze
Niewinne modły zwykłam nieść dzieciną,
Gdy Bóg tysiące mieczem klęski karze,
Gdy łez człowieczych całe rzeki płyną,
Ty — coś jak Matka w troskach była ze mną,
Spójrz, jak dokoła chmurno, groźno, ciemno!



O! nie za sobą błagam! Spójrz, Jedyna —
W tę łez dolinę! Na te krwawe rzeki...
I tak się działo, Matko, całe wieki
Pomimo świętej męki Twego Syna!
Ty, która moc Twą czerpiesz w łaski zdroju,
Ześlij nam promień pokoju!



Patrz! Oto grzeszne, świętokradzkie dłonie
Na krzyża znamię groźnie się podniosły
Więc ślij anioły — Twe promienne posły
Pożogę zgasić straszną, która płonie
I spraw niech zejdzie świętej ciszy zorza —
O, Gwiazdo morza!

„Ty, która murów bronisz Częstochowy“
Na pole walki wnieś nam białe znamię!
Jutrzenko, „która w Ostrej świecisz Bramie“
Nad pochylone troską sług Twych głowy
Pokoju słońcem w modre zejdź przestworza!
O, Gwiazdo morza...

Adela Koneczna.



Nasz konkurs na wiersz.

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego w początku roku bieżącego ogłosiła konkurs na wiersz, któryby opiewał chwałę Przenajświętszej Panienki. Utworów nadesłano kilkadziesiąt. Z tych sąd konkursowy nagrodę pierwszą przyznał utworowi pod godłem: „Serdeczna Matko!“, którego autor podpisał się pseudonymem: Sodalis Marianus; drugą pod godłem: „Królowo Nieba i ziemi“, p. Anieli Łubieńskiej, i trzecią pod godłem: „Pod Twoją obronę“, p. Łukaszowi Wolskiemu; prócz tego odznaczono piękne utwory pod godłem: „Ave Maria“ — Tadeusza Pudłowskiego; „Sługa Maryi“ — Janiny Chlewickiej; „O, Maria, Tuus sum ego!“ — Elwiry Ludwiki Korotyńskiej; „Przedziwna Marya w obrazach swoich cudownych“ — ks. Ignacego Charszewskiego; „Ora pro nobis“— Zofii Zacharkiewiczówny; „Salve Regina“ — (Bożymira) Joanny z Żurkowskich Okołów; „Królowa Niebios“ — Józefy Zdziarskiej.

Zalecają się do druku: pod godłami „Prawda“; „Ave“; „Konkurs“; „Gwiazdo Zaranna!“; „Służebnica Maryi“; „Wiara“; „Tarcza“; „Hymn“ (tytuł, godło nieczytelne); i „Cześć Maryi“. Innych, jakkolwiek również zasługujących na ogłoszenie drukiem, nie wymieniamy, jako nieodpowiadających warunkom konkursu.

Utwory nagrodzone i odznaczone drukować będziemy kolejno, począwszy od tomu styczniowego roku przyszłego.



NIE ZABIJAJ!

Zbędność wódki: nie jest ona ani środkiem pożywienia, ani wzmocnienia

Kochany czytelniku, nie gardź temi kartkami i czytaj je, bo wszystko, co w nich jest zawarte, dla Ciebie i drogich Twoich osób wielce jest pożytecznem. Treść ich jest skierowaną przeciw wódce, tej hydrze, która tyle złego popełnia przeciw duszy i ciału, przeciw Kościołowi ś-mu i społeczeństwu, przeciw jednostkom i ogółowi, w rodzinie, gminie i państwie.

Nie mów w ten sposób: „Ja życzę tobie, który to piszesz, bardzo wielu czytelników, lecz takich, którzy tego potrzebują, t. j. pijaków. Ale ja mogę się obejść bez tej lektury, gdyż chwała Bogu, nie jestem pijakiem, a przynajmniej wódką się jeszcze nigdy nie upiłem i wódki nie jestem wielkim zwolennikiem. Wprawdzie i ja sobie palnę czasami szpagatówki — koniaczku, whiskey lub brandy, jak Amerykanie nazywają — i jak to inni ludzie czynią, ale wiem aż nadto dobrze, kiedy mam przestać i jeszcze nikt mnie pijanego nie widział.“

Jeżeli tak rozumujesz, to właśnie jesteś człowiekiem, dla którego to drukujemy.

Bo do odwrócenia starych, zatwardziałych pijaków od wódki potrzeba silniejszych środków. Nasz artykuł zwraca się właśnie tylko do porządnych ludzi, którzy chętnie słuchają głosu rozumu i nie trzymają się uparcie uprzedzeń z góry powziętych. Nadto mamy na myśli niewiasty i młodzież,—młodzież, która najwięcej jest narażoną na pokusę.

Słyszymy twoją odpowiedź: „Ależ, jeżeli nie piszecie dla pijaków, to dla kogóż właściwie? Czy dla tych, którzy umiarkowanie zażywają wód-

ki? Czy ty nie wiesz, że wódka, użyta w miarę, może być dla wielu ludzi pożytecznym, ba, nawet niezbędnym trunkiem, który zwłaszcza klasom pracującym dodaje odwagi i wytrwałości w pracy? Czyż to można, że nawet lekarze w chorobie wódkę przepisują i używać każą?“

Powoli, kochanie, nie spiesz się tak, miej nieco cierpliwości, zaczekaj trochę, a my ci na wszystkie zarzuty odpowiemy.

Ty sądzisz, że wódka jest skutecznym środkiem dla wzmocnienia cierpiącego pod ciężarem pracy ciała? Taka wódeczka, mówisz, dobrze mi robi przy robocie, dodając mi siły i odwagi. Że wódka dodaje odwagi i popędza do pracy, tego ja nie przeczę wcale. Wiemy bowiem bardzo dobrze, że ona usuwa na chwilę uczucie i osłabienie przez swoje działanie na nerwy i spowodowany wskutek tego szybszy obieg krwi. Ale również dobrze wiemy i twierdzę, że nie nadaje ona rzeczywistej siły organizmowi, że go zatruwa.

Działa ona mniej więcej tak, jak bicz na zmęczonego konia. Biedny koń, podniecony razami, zbiera ostatnie siły do gwałtownego wytężenia, lecz na koszt już i tak wycieńczonego ciała.

W ten sam sposób i wódka pobudza człowieka — robotnika do większej działalności, ale biada temu, który temu niby zbawiennemu środkowi zaufa! Nie potrafi on z czasem oprzeć się zgubnym skutkom takowego. „Tak, wódka jest nędznym środkiem obałamucenia dla biednego człowieka“, powiada pewien stary lekarz i kto go przed nią ostrzega, ten jest jego najlepszym przyjacielem. Żadne zapatrywanie nie pochlebia tak pijaństwu, jak to, że wódka jest pożywną, żadne zapatrywanie się nie jest niebezpieczniejsze i więcej nie zaszkodziło klasom ubogim, pijącym wódkę, jako środek pożywienia lub wzmocnienia.

Gdyby wódka dawała siły do pracy, toby już dawno zauważono tam, gdzie ciężkie prace się wykonywają, szczególniej w fabrykach, hutach i kopalniach.

Ale wprost przeciwne zrobiono doświadczenie wszędzie, a mianowicie, że ci robotnicy, którzy nie piją wódki, o wiele staranniej i wytrwalej pracują i pod każdym względem bardziej na nich polegać można, niż na ich współtowarzyszy, pijących wódkę.

Gdyby wódka rzeczywiście siłę i odwagę do pracy dodawała, toby zarządcy i przełożeni fabryk, hut i kopalń, gdzie się ciężkie prace wykonują, pozwolili robotnikom pić ją dowolnie, tymczasem widzimy, że dzieje się przeciwnie i w wielu fabrykach, hutach i kopalniach jest pod ciężką karą zakazanem nosić wódkę ze sobą i robotnika takiego, przy którym wódkę znajdują, lub takiego, którego widzą pijącego, od roboty odprawiają i czemprędzej go się pozbywają.

Tak samo i niektórych, tak zwanych uczonych i wykształconych, którzy temu nałogowi się oddają, naśladować nie należy, ani słuchać ich rad lub wywodów, że wódka nie szkodzi. Przyzwyczajenie się do jednego najprzód, a potem kilku kieliszków dziennie, wiedzie do pijaństwa bardzo łatwo, a pijaństwo tak człowieka uczonego, jak i prostaczka poniża do rzędu istoty bezrozumnej lub bydlęcia.

Czy wódka w chorobie pomaga, wkrótce pomówimy o tem.

(D. c. n.)



Od Redakcyi.

Szanownemu ks. Wład. Paluk. w Wiej. Przyjmijcie braterskie podziękowanie za życzliwe słowa wyrażone w ostatnim liście.

Szanownemu ks. L. Bańk. w Cz. Premia i portret Ojca Ś-go Piusa X wysłane. — „Bóg zapłać" za życzenia.

Szanownemu ks. Kaź. Ful. w Wien. Kto ma umysł bystry, a serce szlachetne, ten dobrze rozumie pracę społeczną. — Za dobre Wasze słowa i zrozumienie naszych chęci, niech Was, Bracie, Bóg błogosławi!

W-nemu P. Hen. Popiel. w Zapor. Spełnianie obowiązku obywatelskiego, to jest pracy dla swoich, o tyle jeszcze jest milszem, o ile częściej spotyka się osoby tak myślące, jak Szanowny Pan. — To też przyjmijcie serdeczny uścisk dłoni.

Szanownemu ks. Jan. Lat. w Czarn. „Sursum corda!" Bracie kapłanie, nie upadajcie na duchu. Opieka Matki Boskiej Częstochowskiej nie opuszcza nas. Co do prenumeraty, to ta opłacona do końca roku bieżącego.

Szanownemu ks. A. Jur. w Szczaw. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1905 r., przesyłka premium również, nadto na dalszy ciąg prenumeraty pozostało jeszcze 50 kop.

Szanownemu ks. Em. Weick. w T. Serdecznie dziękujemy za życzenia i polecamy się łaskawym względom Szanownego ks. Dobrodzieja. Prenumerata opłacona już i za rok 1905, t. j. do 1 stycznia roku 1906.

Szanownemu ks. J. Biksz. Prenumerata opłacona do 1 kwietnia 1905 r. Za życzliwość ślemy szczere podziękowanie.

W-nemu P. L. Walas. w Petersb. Żądany obraz wysłaliśmy. Pozostało 2 ruble. Prosimy o wiadomość, ile Sz. Pan przeznacza na ofiarę.

W-nemu P. A. Lew. w Sosn. „Dzwonek Częstochowski" opłacony do 1 stycznia 1905 r., przyczem pozostaje do rozporządzenia Sz. Pana 10 kop.

Szanownemu ks. Kal. Zb. w Tysz. Przekaz otrzymaliśmy i dziękujemy. Do zupełnego uregulowania prenumeraty po dzień 1 stycznia 1905 r. brak jeszcze 50 kop., o czem stosownie do życzenia Szanownego ks. Dobrodzieja zawiadamiamy.

W-nemu P. K. Piotr. w Karol. Rb. 4 otrzymaliśmy. Prenumerata, po nadesłaniu przez Szanownych Panów jeszcze 50 kop., będzie opłaconą do końca roku bieżącego.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1905, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w tym roku, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

